DZIŚ II nagroda W KONKURSIE

JERZY AMBROZIEWICZ

W DRODZE NA SZCZYT

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 9 lipca 1961 r.
Nr 27 (175) Cena 1 zł

Rudzka Góra

Deptałem pańskimi śladami, obserwowałem zmagania i szamotanie się. Kwaśną miał pan minę. Z miastem nie idzie tak łatwo jak z pierwszą lepszą babą. Trzeba wiedzieć, z której strony je zajść, by otworzyło swe bramy, odkryło tajemnice i dało wyczuć swój puls. Miasta nie można poznawać po fasadach domów i obliczu pryncypalnej ulicy.

Ot, teraz stoimy na Pabianickiej. Moglibyśmy łazić nią w tę i z powrotem, gapić się na wszystkie strony i ani do głowy by nam nie przyszło, że spacerujemy w jednej z sympatycznych dzielnic Łodzi. Chodźmy stąd panie. Ta ulica jest straszna.

Za torem gdzie bierze swój początek Ruda kończy się Łódź, zaczyna kierunek na Wrocław. Tak przynajmniej uważają szoferzy. Naciskają gaz do dechy i rozkwaszają każdego, kto im nawinie się pod koła. Miasto na mapie ciągnie się jeszcze parę kilometrów, ale dla nich kończy się pod tunelem obwodowej kolei. Był czas, że codziennie zgarniano z tej jezdni trupy i ściągano rozbite wozy. Nie należy prowokować losu, zejdźmy z ulicy śmierci, która przesłania prawdziwy obraz dzielnicy.

Zaprowadzę pana na rudzką górę. Tam wśród trawki i piasku jednym spojrzeniem objąć można całą Rudę: od stawu Stefańskiego — po lot nisko, i od toru do zajezdni tramwajowej. Znajdziemy się ponad dziesiątkiem kominów fabryk, w których pracuje więcej ludzi niż liczy ta dzielnica, i ponad jednym kominem wystawionym wśród cieplarni tutejszego milionera.

Był pan u niego.

Można zapytać po kiego licha pana tam nosiło, a tak że po diabła zaciągnęło aż na Marysin, do tych z tramwajowej poczekalni.

Chciał pan przeskoczyć przez dzielnicę z bieguna na biegun. Od milionera, który dymi w kominie nie mniejszym niż fabryka o parotysięcznej załodze, do ludzi, którzy pewnej nocy zmienili publiczną poczekalnię na własną sypialnię, kuchnię stołowy i wszystko to zmieściło się na paru kwadratowych metrach wydeptywanych dotąd przez niecierpliwych pasażerów miejskiej komunikacji. I co z tego wyszło? Klops.

Ogrodnik mógł panu opowiedzieć jedynie o różach i palmach, które hoduje by in ni mogli zdobić gabinety i mieszkania. Rozumiem pana intencje. Róże nadają się w równym stopniu na bukiet ślubny jak wiązankę do trumny. Dwa kwiaty z tego samego ogrodu mogą zawędrować do sypialni kochanki i pokoju chorej matki, ale wie pan chyba, że hodowca gubi ślad róży tuż za bramą ogrodu. Dalsza jej droga mo że ciekawić takich jak pan. Jego interesuje tylko osoba hurtownika i cena, którą mu płaci. Nic i nikt więcej.

Milionera znają wszyscy w dzielnicy - to prawda, lecz ko go zna milioner? Paru sąsiadów z okolicznych posesji i jeszcze kilka twarzy spotykanych w drodze do przystanku tramwajowego i z powrotem. Obraca się wśród kwiatów, aplegierków i wystawianych co roku wciąż nowych cieplarni.

Dalszy ciąg na str. 4

„śródmieście" Rudy — Marysin — już o godz. 20.00 pustoszeje

NASZ LAUREAT

JERZY AMBROZIEWICZ urodził się 1 stycznia 1931 roku w Warszawie, w rodzinie inteligencji pracującej. Ukończył studia na Wydziale Dziennikarskim UW, po czym w latach 1954-57 pracował w „Po prostu". W roku 1957 zdobył warszawską literacką nagrodę młodych I stopnia. Od roku 1958 publikuje reportaże w czołowych tygodnikach m.in. w „Życiu Literackim", „Argumentach", „Polityce". Pracował w „Dzienniku Ludowym" obecnie jego macierzystą redakcją jest „Tygodnik Kulturalny ORKA". W roku 1959 uzyskał II nagrodę (pierwszej nie przyznano) w konkursie na reportaż ogłoszonym przez „Iskry" i „Sztandar Młodych" z okazji 15-lecia PRL. W roku bieżącym znalazł się po raz drugi wśród laureatów nagrody im. Juliana Bruna. Wespół z Aleksandrem Rowińskim jest autorem zbioru reportaży pt. „Posłuchajże, wierny ludu!".

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Co łaska OFIARA *- na bombę* DLA CARA...

Tak wołał blisko sześćdziesiąt lat temu pewien majster z Widzewa. Stawał sobie co niedziela przed widzewskim kościołem i zbierał ruble, albo kopiejki. Majstra wywieziono na Sybir, car skończył karierę z innych powodów, w każdym razie to nie widziewiacy go dopadli.

A znowu dzisiaj chodzi po ulicy Retkińskiej pewna krowa, bardzo poważna krowa. Chyba dlatego, że do Seminarium Duchownego należy. Jednego razu szła do buhaja na Brus, no i przechodziła przez Retkinię, koło domu pana Zuberta, który jest komunistą. Sam biskup Tymieniecki na świętą wiarę go nawracał, ale nic dał rady.

Z Glażewskimi natomiast całkiem inna historia, wczorajsza i dzisiejsza. Wczorajsza, no bo już nie ma tego domku na Karolewie, gdzie przed wojną mieszkali. W tym domku założył tajną drukarnię towarzysz Loga-Sowiński, inni też, Głąbski, Faust, czy Gołębiowski. W ogóle „techniki" partii komunistycznej było na Karolewie dużo, w czasie okupacji obsługiwał tam radiostację tow. Moczar. Też nie rejestrowaną. Zdarzyło się kiedyś, niosą Glażewski z Głąbskim tę drukarnię na plecach. Pękł sznurek, drukarnia wysypała się i byłby duży klops. Ale karolewiacy pomogli zebrać części, nawet się nie zapytali, co to jest. Po jednym Glażewskim mamy ładną fabrykę, zaraz za stadionem ŁKS, drugi sekretarzuje w partii na Polesiu.

Król cyganów Kwiek, który był u cara za ministra, nosi z dumą pół miedzianej głowy, te drugie pół rozkwasili mu młotkiem współplemieńcy. W warsztacie meblarskim u mistrza Pęgowskiego na Starym Mieście można poznać gusty ludzi z nowych bloków. Cedyński, ten z Żabieńca, przeżywa tragedię. Całe życie ciułał grosz, kupił sobie na własność kawałeczek globu ziemskiego, zbudował domek i zasadził brzozę. Ale teraz dogoniła go współczesna Łódź, te bloki mieszkalne, fabryki, magazyny. Brzozę trzeba ściąć, domek zburzyć. W „Belwederze", to taki familiak na Radogoszczu ludzie rządzą się sami, bez urzędników, na Marysinie handluje ziemią dawny kapitalista i były baron Heinel. Robi zupełnie dobre interesy na naszej ludowej prowarządności.

Zresztą co ja naszym czytelnikom będą opowiadał anegdoty o dawnych i dzisiejszych łodziakach, przeczytacie sobie sami w reportażach nadesłanych na konkurs Wydziału Kultury RN m. Łodzi i „Odłosów". Właśnie rozpoczynamy ich druk.

Konkursowi nadaliśmy nazwę — „Opisanie Łodzi". Nie bez kozery. W roku 1859 wydał w książce pierwsze opisanie naszego miasta Oskar Flatt. Ale on pisał sam i sto lat temu. Łódź jest dziś zupełnie inna, za kilkanaście lat będzie inna od dzisiejszej. Znajdujemy się właśnie niedaleko szczytu wielkiej przebudowy miasta. Chcieliśmy ten jedyny i niepowtarzalny moment zapisać ku wiecznej rzeczy pamiątce, wydać następnie w książce, jak pan Oskar, i zadedykować obywatelom naszego miasta.

Tylko że za opisanie współczesnej nam Łodzi wziął się nie jeden człowiek, ale najlepsi reporterzy z kraju, nie wyłączając, oczywiście, samych łodzian. Jakże sobie poradzili? Takie pytanie narzuca się samo, ale z odpowiedzią gorzej. To przecież zależy od tego, z której strony patrzeć. Uczestnicy konkursu losowali dzielnice naturalne miasta, po dwóch na jedną, które mieli opisywać: Widzew, Bałuty, Grünbach, Szlezyna, Złotno, Ruda, Radogoszcz i tak w sumie ponad dwadzieścia. Stało się jak w każdej przyzwoitej szkole,

Dokończenie na str. 2

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

MAREK WAWRZKIEWICZ

Głos w dyskusji na temat sytuacji w teatrach łódzkich

GDZIE TEATR a GDZIE WIDZ

Artykuł Stanisława Kaszyńskiego, trzeci głos w dość burzliwej dyskusji, jaka toczy się na łamach naszego pisma (towarzyszy jej jeszcze burzliwsza reakcja tych, którzy się na zabranie głosu nie zdecydowali), odwołuje alarm dla łódzkiej Melpomeny i dość niespodziewanie ogłasza go dla drugiej strony rampy tzn. dla widowni. Dość niespodziewanie, bo choć nie istnieje jeszcze teatr masowy, o którym marzyli — jak pisze Kaszyński — i Bogusławski i Mickiewicz i Wyspiański i jeszcze Schiller, nie może też być mowy o jakimś zdecydowanym odpływie widzów od teatru. Nie działają chyba jeszcze na niekorzyść teatru rozrywki spod znaku „muz z aparaturą" na czele z telewizją, choć tyle się już o tym mówiło. Snując na ten temat rozważania zapomina się, jak sądzę, o czymś bardzo istotnym, choć może trochę irracjonalnym — o tym, że teatr to nie tylko to, co się rozgrywa na scenie pomiędzy antraktami, że teatr to również gra świateł, falowanie kurtyny, właśnie antrakt, premierowa i nie tylko premierowa odświętność; telewizja zaś nieodparcie musi się kojarzyć z pantoflową codziennością. Nie chcę i nie mam zamiaru sugerować, że te właśnie czynniki najbardziej przyciągają widza. Do niepowrotnej już przeszłości należy widz — narkoman, wykupujący ložę na cały sezon teatralny, muszący prawie co dzień, choćby przez jeden akt, oddychać atmosferą teatru. Nie trzeba też dodawać, że zjawisko wymarcia takiego widza nie wymaga głębokich uzasadnień. Od tamtych czasów, kiedy to teatr bardzo, a może nawet przede wszystkim, działał swoją atmosferą, swoim mitem zmieniło się w relacjach widz-teatr wiele, jeśli nie wszystko. I skoro tak, skoro przynajmniej przed kilkunastu laty wykształcił się zupełnie inny rodzaj widza, należałoby zastanowić się przede wszystkim nad tą nową sytuacją, nad innymi przecież stosunkami zależności między teatrem a widzem.

Nie podlegającym dyskusji wydaje się fakt, że nie istnieje teatr, mogący egzystować bez ukłonów w stronę widza. Rzecz tylko w tym, że zbyt często chyba rozdaje się te ukłony, dobierając w odpowiedni sposób repertuar, zbyt rzadko zaś wychodząc w stronę widza drogą reklamy, drogą popularyzacji teatru, przystępnego mówienia o teatrze (co nie znaczy: mówienia w sposób nie zmuszający do myślenia). Nie zachęcam bynajmniej do tych form reklamy, która bardzo często okazywała się skuteczną antyreklamą, jak np. wystawienie w „polowych" warunkach fragmentów przedstawień w zakładach pracy, fabrykach itd. Zachęcam natomiast do kontynuowania akcji, która jest w założeniu słuszna, choć jeszcze rezultatów spodziewanych nie przyniosła: myślę np o zapraszaniu na przedstawienia premierowe przedstawicieli zakładów pracy, Akcja — jeszcze raz powtórzę — jest słuszna, trzeba tylko prawidłowo wybrać ludzi, mających być ambasadorami teatru w szerokich masach, powiedzmy szczerze, nie przyzwyczajonego do tej rozrywki społeczeństwa. Sposobów reklamy jest zresztą wiele, bez uciekania się nawet do jedynej podobno w naszych czasach skutecznej — totalnej i masowej. Teatry jednak wolą najczęściej pozostawać na wysokim piedestale i — za hańbę chyba poczytując sobie tego rodzaju umizgi w stronę widza — są raczej skłonne czynić inne ustępstwa, wystawiając tzw. sztuki kasowe. Jakże często mając tę jedyną zaletę, że reperują tylko kasę teatru.

Partyzantka repertuarowa, w równym chyba stopniu jak brak szerokiej akcji popularyzującej teatr, dezorientuje na pewno widza. Tego masowego, a jednocześnie trochę mitycznego widza mieszkającego w Łodzi, w mieście o jednej z najmłodszych w Polsce publiczności teatralnej.

Praktykami dość wątpliwych jakości są na pewno próby zbliżenia się do widza przez wystawianie „Zagłoby swatem" czy „Serc w matni". Nie wszczynając dyskusji na temat wartości tych sztuk, chcę tylko zauważyć, że popularność, frekwencja, liczba przedstawień nie musi być argumentem na korzyść sztuki. Niestety, dość często świadczy o braku tych wartości. Kierując się gustami publiczności (o których kształtowaniu tyle się mówi a tak niewiele jeszcze robi) dość często trzeba byłoby jeszcze wystawiać np. Krzywoszewskiego. I to nieprawda, że trzeba koniecznie zacząć od „przystępności" w rodzaju sztuczydła Sidneya Howarda.

Chcę przypomnieć długą i zażartą kłótnię prowadzoną przed laty na łamach prasy. Kruszono kopię o repertuar teatru Skuszanki. Znawcy twierdzili, że jest zbyt trudny dla nowohuckiego widza-robotnika. Tymczasem teatr w Nowej Hucie nie zrobił chyba ani jednego przedstawienia, które nie byłoby — według swoistych łódzkich kryteriów — „trudne" i „nieprzystępne" mimo to nie odstraszył publiczności, mimo to publiczność teatralną teatru nowohuckiego stanowią właśnie robotnicy. Anomalia socjologiczna? Na pewno nie.

Kaszyński twierdzi, że precyzyjniejsze uprofilowanie łódzkich teatrów nie będzie czynnikiem przyciągającym widza. Nieco wyżej, mówiąc o popularności Małej Sali Teatru Nowego, i o jej stałych bywalcach, zaprzecza sam sobie. Nie twierdzę, że Mała Scena ma już zdecydowaną linię repertuarową. Pokazano jednak na jej deskach kilka sztuk, które od biedy można traktować jako zapowiedź krystalizacji w najbliższym czasie.

O tym, jak mści się wystawianie sztuk nie leżących w profilu teatru, może świadczyć nagłe obniżenie się frekwencji w teatrze 7,15 po „Śmierci Tarełkina". Co nie znaczy oczywiście, że dotychczasową linię repertuarową tego teatru uważam za bezbłędną i dobrą, a sztukę Suchowo-Kobylina za złą. Sądzę tylko, że zmiany powinny zachodzić drogą ostrożnej ewolucji, przez bardzo troskliwy dobór pozycji repertuarowych.

Jeszcze jednym, istotnym elementem decydującym o przypływie lub odpływie widzów od teatru, wydaje się być krytyka. „Odgłosy" zamieściły w ciągu dwóch ostatnich sezonów więcej recenzji krytycznych niż wszystkie pozostałe pisma razem wzięte. Czy zniechęciły do pójścia na kilkanaście sztuk kilka tysięcy widzów? Być może, jeśli jednak tak jest, to zło jest nieuniknione. Bo chyba jeszcze większe zło wyrządziły dziesiątki recenzji i sprawozdań niezmiennie chwalczych, lub utrzymanych w tonie mętnego pustosłowia, recenzji nic nie sugerujących, albo sugerujących wbrew rozsądkowi i dobremu smakowi artystycznemu, że jakaś tam inscenizacja jest dziełem prawie genialnym i wobec tego do obowiązków każdego kulturalnego człowieka należy jej obejrzenie. Recenzent łódzkiej popołudniówki na przykład jest szczęśliwy(i daje temu wyraz), jeśli ma choć najmniejszy pretekst, aby złą sztukę pochwalić; na palcach jednej ręki można policzyć niepochlebne recenzje tak doskonale znającego teatr recenzenta, jakim jest Mieczysław Jagoszewski. Czy istotnie tak mało było powodów do niezadowolenia w ciągu ostatnich kilku lat? Nie zapominajmy, że ten tak niewyrobiony łódzki widz w ogromnej swoje masie na co dzień obcuja z inną sztuką — z kinem. I nie dziwie się, że woli kino. Nie chodzi nawet o to, że jest to rozrywka tańsza. Idzie o to, że wybierając się do kina widz ma gwarancje, że zobaczy choćby kawałek rzemieślniczej roboty, która pozwoli mu uwierzyć w fikcyjne dramaty na ekranie. Czy zapewniają mu to nasze teatry? Chyba nie zawsze. To znawca teatru będzie się zastanawiał, dlaczego go jakaś inscenizacja nie przekonała, przeciętny widz nie zastanawia się, jest po prostu *nie przekonany*. Jeśli jeszcze dodamy do tego fakt, że przeczyta w prasie bardzo pochlebną recenzję przedstawienia, na którym był, będziemy mieli pełny obraz dezorientacji widza.

Suche cyfry nie wskazują na odpływ widzów od teatru, na spadek frekwencji. Utrzymuje się ona w tych samych mniej więcej liczbach, co w poprzednich sezonach. I dlatego nie ma jeszcze powodów do trąbienia na alarm. Teatr powinien chyba jednak zacząć się w końcu o widza ubiegać, jeśli nie chce zostać zdystansowany przez inne środki masowej rozrywki.

Pozostawmy alarmową syrenę po tamtej stronie rampy. Zapytajmy ludzi teatru, z dyrektorami i kierownikami artystycznymi na czele o powody ich, jakże często trudnych do umotywowania, decyzji.

Co łaska OFIARA *- na bombę* DLA CARA...

Dokończenie ze str. 1

nie wszyscy napisali na piątkę. Jedne dzielnice (np. Widzew, Retkinia, Ruda, Bałuty, Szlezyng, Karolew, Dąbrowa) wyszły bardzo dobrze, inne dobrze lub dostatecznie. Kilku reporterów oblało i powinno zostać na drugi rok. Jednak zdecydowana większość opisów przedstawia dużą wartość pod każdym względem.

Zacząłem od anegdot. Wcale nie dlatego, żeby było ładniej. To są przecież anegdoty o ludziach, naszych łódzkich krajanach, dawno już zmarłych bądź żyjących dziś. Czy rzeczywiście łodzianie są tacy ciekawi? Jeden z głównych laureatów naszego konkursu Janusz Roszko z Krakowa powiedział mi, że co jak co, ale łodzianie urzekli go bez reszty. Wyznanie ważne, państwo rozumieją, oni tam w Krakowie z powodu jednego Wawelu, Sukiennic i Kościoła Mariackiego gotowi uważać, że są już Łodzią. Szowiniści. A ten przyjechał, zobaczył spuścił z tonu i zachwycił się Widzewem.

No więc, obok panoramicznych reportaży, wielu reporterów zafascynował łodzianin i jego perypetie. To chyba bardzo dobrze, dobrze tym więcej, że pisano przeważnie o robotnikach. Proszę sobie wyobrazić, że dyrektorów, naczelników prezesów, w reportażach nie ma, tylko zwykli ludzie. Reportażyści ożywili raz jeszcze często już zapomniane karty z dziejów drobnych i wielkich starć politycznych, przekazali nam obraz nie tylko walki ale i marzeń pracującego człowieka w tym strasznym ongiś, dzikim i obojętnym, mieście, człowieka, który pragnął mieć coś więcej niż tylko chudą wypłatę co sobotę, ale i własny kąt, odrobinę swojej zieleni, może nawet króliki, albo gołębie? Kapitalistów uczestnicy konkursu nie lubią, ani jednego porządnie nie pokazali. To ładnie, ale i nie bardzo. Jak się pisze o ludzkiej biedzie nie należy pomijać jej sprawców. Tak więc zakradło się do reportaży małe brakoróbstwo.

Bohaterowie Łodzi dzisiejszej, opisani w pracach konkursowych, to także robotnicy. Ale nie robotnicy „wojskowi", przy warsztatach, gdyż do fabryk reporterzy prawie nie zaglądali. To robotnicy „cywilni", ze swoich dzielnic, bloków, familiaków, a także suteren, wołających o pomstę do nieba.

Problematyka? Bardzo bogata z tym jednak, że uczestników konkursu, zwłaszcza zagranicznych, czyli z Warszawy i Krakowa ujęło przywiązanie łodzian do miasta. Stąd zapewne dziesiątki działaczy Komitetów Blokowych i Frontu Jedności, podane w pysznej anegdocie. Ich troska o interesy środowiska, czy dzielnicy, bezinteresowność w obywatelskim działaniu, ekonomiczna i moralna strona tej aktywności — udały się reporterom nad podziw. Powstawanie więzi społecznej w nowych osiedlach, gdzie obok miejskiego obyczaju widzimy i tradycyjny, ze wsi przyniesiony za pazucha, tragedie ludzkie spowodowane nieprawdopodobnie ciężką sytuacją mieszkaniową, ludzka pomoc i życzliwość — to wszystko nasi reporterzy bystro dostrzegli.

I nie tylko to. W ostatnich latach wyszły na wierzch kontrasty łódzkie. Wyszły dlatego, że zatęchły drewniak, brudna czynszówkę można już bez trudu zestawić z kolorowymi osiedlami. Ostatni Siekierzyńscy, łódzkie woziwody, coraz mniej mają roboty, schodzą na margines, stają się anachroniczni, zabytkowi, stara smutna Łódź przegrywa ze współczesną. Za kilkanaście lat kontrastów już nie będzie i może nikt nie uwierzy, że ludzie mieszkali w piwnicach? Wielki przełom następuje w naszych oczach i ten właśnie zakręt, tak bardzo dla naszego miasta charakterystyczny został opisany. Proszę pomyśleć, zniknie ostatni beczkowóz, wyprowadzi się ostatni lokator z dusznego poddasza, ktoś przyniesie ostatnie wiadro wody z ulicznej studni, na Bałuckim Rynku przestaną sprzedawać amerykańskie automata do wiązania krawata. Zupełnie jak w „Panu Tadeuszu", choć przyjdzie nam poczekać jeszcze ładnych parenaście lat. Tę łódzką jedyność i niepowtarzalność, do której niepodobna będzie powrócić, nasi reporterzy z dużym sercem opisali.

Nasz łódzki i ogólnopolski zarazem konkurs, bądźmy choć raz mało skromni, wywołał duże zainteresowanie. Szereg reportaży, tak należy przypuszczać, będą drukowały tygodniki warszawskie, pewnie i krakowskie. Oczywiście, bardzo nam o to chodzi, aby czytelnicy całego kraju czytali nie tylko o „modnych" miastach, ale i o Łodzi, która wygrzebuje się z dużej biedy i odrabia zaległości w zupełnie przyzwoitym tempie.

Chodzi wszakże i o co innego. Życzliwość władz partyjnych naszego miasta, mecenat Rady Narodowej, szczególnie zaś naszego miłego, jak zwykliśmy mawiać — wójta i podległego mu sołtysa od kultury, określają w sposób niezwykle pozytywny atmosferę kulturalną Łodzi. Wolno sądzić, że przy pomocy dobrych piór opisaliśmy choć cześć wielkiego wysiłku ludzi pracy nad przebudową miasta, i że oddaliśmy nie najgorsza przysługę polskiemu reportażowi, który wiernie towarzyszy przeobrażeniom całego kraju.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

SEDNO RZECZY

MARIAN PIECHAL

CZY PODRÓŻE KSZTAŁCĄ?

Jak kogo. Znam pewną facetkę, która co roku jeździ z wycieczkami „Orbisu" i co roku wydaje mi się głupsza. Co prawda jest piękna, a przy tym ma dużo wrodzonego wdzięku, co nie zawsze idzie w parze, ale postępująca jej głupota nie jest wrodzona, tylko nabyta przez owe właśnie podróże.

Ale czy to są podróże? Czy godzi się nazwać podróżą błyskawiczny niemal przerzut samolotem z miasta do miasta lub statkiem z portu do portu — z pobytem kilkugodzinnym w porcie lub mieście? Cóż ona pamięta z tego portu lub z tego miasta? Co przystojniejszych marynarzy i co wystawniejsze witryny sklepowe. Więcej nic — dosłownie nic. Ktoś może powiedzieć o tej mojej, pięknej i wdzięcznej tzn. pełnej wdzięku czyli uroku znajomej, że to wyjątkowa idiotka. Otóż w tym sęk, że wcale nie wyjątkowa — tylko taka sobie zwyczajna, urobiona przez dzisiejszy sposób — czy też może raczej manię — podróżowania.

Samolot skraca przestrzeń, wzdłuża czas — to prawda. Ale jakim kosztem, że tak powiem, konkretności tej przestrzeni i tego czasu. Przestrzeni się nie czuje, czasu się nie odczuwa. I jedno i drugie zjawisko staje się abstrakcją. Konkretem natomiast staje się kontrast sytuacyjny. Uwydatnia się także znaczenie dystansu. Samolot, który przerzuca w ciągu trzech godzin z Warszawy do Belgradu ostro uwypukla kontrast geograficzny i sytuacyjny — różnice miejsca z nad środkowej Wisły i z nad środkowego Dunaju. Tego dostrzec nie można, to wprost oszałamia. Ciśnienie krwi, ciśnienie myśli jest inne.

Natomiast dystans trzech czy czterech kilometrów, jaki dzieli nas przeciętnie w czasie jazdy samolotem od ziemi, niweluje w niej wszelkie jaskrawości, znosi różnice przestrzenne, pozbawia nas wrażliwości na szczegóły, które przecież ostatecznie przesądzają o specyfice i charakterze rzeczy i zjawisk. Z dystansu góry równają się z dolinami, a wszystkie kraje podobne są do siebie. Z im większej wysokości patrzymy na nie, tym bardziej są podobne — ba! też same.

Podróżując odrzutowcem tracimy w ogóle kontakt z ziemią, przestrzeń nabiera wymiarów abstrakcyjnych — wzmaga się poczucie łączności z kosmosem. Nawet w zwykłym samolocie podczas jazdy nad obłokami, kiedy jedynym dla wzroku punktem stałym jest słońce, traci się poczucie przestrzeni i poczucie ruchu, ma się wrażenie zawieszenia w jakiejś bezkresnej błękitno-śnieżnej poświacie, gdyby nie drżenie warkot samolotu, uprzytomniające ruch, i gdyby nie przypadkowy rzut oka na przelotne w dole rozrzedzone strzępy obłoków, uprzytomniające płynną konsystencję powietrza: odczuwa się nieodparcie, że samolot i obłoki zanurzone są w błękitnym płynie.

Ktoś mógłby wyprowadzić w tym miejscu fałszywy wniosek o wartościowej przewadze dawniejszych podróży nad dzisiejszymi — o przewadze dyliżansu nad samolotem. Nic fałszywszego. Jeden i drugi środek lokomocji ma swoje plusy i minusy. Pierwszy uczulał, że tak powiem, na konkret, przestrzeń i podobieństwo, drugi uwrażliwia na abstrakcję, czas i kontrast. W dyliżansie więcej zajęty zmysł wzroku i słuchu, w samolocie więcej pracuje intuicja i myśl. Idealnym środkiem podróżniczym byłoby zatem połączenie dyliżansu z samolotem. Miejmy nadzieję, że ludzkość z czasem dojdzie do tego, ponieważ — jak wiadomo — rozwój jej w ogóle odbywa się z natury rzeczy po drodze do ideału.

Tymczasem skazani jesteśmy na coraz doskonalsze, to znaczy szybsze i bezpieczniejsze (a i wygodniejsze) środki lokomocji czyli podróżowania. One oddalają nas od ziemi a zbliżają do kosmosu. Wymagają coraz większej sprawności myślenia i wnioskowania. Słowem — sprzyjają więcej refleksji, niż biernemu odbieraniu wrażeń wzrokowych i słuchowych. W przestrzeniach pozaziemskich jest idealna cisza i idealny układ punktów świetlnych. Otwiera się uroda widzenia wewnętrznego, wynikającego z pracy ludzkiego mózgu i wyobraźni. Otwiera się nowy rodzaj podróży, kształcący człowieka od wewnątrz, dostarczający bodźców dla ukrytych w nim możliwości refleksyjnych typu abstrakcyjnego, wymagających wysiłku myśli i pracy intuicji — czyli stwarzający nowy typ człowieka.

A więc — czy podróże kształcą? Jak kogo. Typ podróżnika ukształtowany przez epokę dyliżansu, staje się przeżytkiem. Epoka samolotu nie wychodzi na zdrowie tym przeżytkom. Oszałamia i ogłupia je do reszty. Przykładem owa piękna i pełna wdzięku moja znajoma z wycieczek „Orbisu". Nowoczesne środki podróżowania — aby z nich odnieść pożytek — wymagają zdolności samodzielnego myślenia i wyobraźni.

MARIA KORNATOWSKA

„KOBIETY CZEKAJĄ"

Twórczość Ingmara Bergmana należy w dzisiejszej kinematografii do zjawisk niezwyczajnych i wyjątkowych. Bergman jako jeden z nielicznych reżyserów potrafił stworzyć swój własny świat. Potrafił wypełnić ekran osobistymi, subiektywnymi treściami, nasycił swą filozofią, niepokojami a nawet obsesjami. Ten dziwny, bergmanowski świat ożywa w każdym jego filmie w sposób konsekwentny i fascynujący zarazem. Uważny widz ze wzruszeniem odkrywa znane mu motywy, znajome sytuacje, konflikty i postacie. Można by powiedzieć, że reżyser krąży wokół pewnych spraw, smakując ich wieloznaczność, drążąc je w głąb w poszukiwaniu nowych aspektów i nowych rozwiązań. Ulubionym tematem bergmanowskiego „drążenia" jest oczywiście miłość. Miłość u Bergmana jest zawsze konfliktem walką, szukaniem i wiecznym niespełnieniem, wiecznym niezaspokojeniem. Tylko chwilami w „Letnim śnie" i w „Siódmej pieczęci" nabiera pozorów sielanki. Jest walką w której wygrywa silniejszy („Wieczór kuglarzy") czy mądrzejszy („Uśmiech nocy letniej"). Jest wreszcie wielką samotnością, pasmem klęsk i kompromisów.

Film „Kobiety czekają" jest właśnie filmem o samotności i o rezygnacji.

O konieczności kompromisu. Nie przypadkowo zresztą bohaterkami filmu są kobiety. We wszystkich filmach Bergmana kobiety są prawie zawsze indywidualnością silniejszą w dobrem i złem („Wakacje z Moniką"). Są stroną aktywną w wielkiej grze, zwanej miłością. Ów motyw przewagi moralnej i umysłowej kobiet jest znamienny dla literatury i filmu krajów skandynawskich. Warto przypomnieć choćby znany u nas świetny film „Dzień gniewu" Dreyera gdzie konflikt między silną i odważną kobietą a słabymi i egoistycznymi mężczyznami rysuje się szczególnie wyraźnie. Podobnie rzecz się ma i u Bergmana. Ale największą słabością kobiety jest jej miłość do mężczyzny. I oto próbuje ona wszelkimi środkami zdobyć i zachować tego, z którego egoizmu i małości doskonale sobie zdaje sprawę, którego wady i śmieszności wykorzystuje tak jak czyni to choćby Ewa Dahlbeck.

I w taki sposób rodzi się ów kompromis — najwyższa mądrość bergmanowskiego świata. Rezygnacja z pełni, o jakiej marzą i na jaką zasługują, zgoda na to, co mogą otrzymać od życia. Pogodzenie z losem. Albowiem bunt kończy się klęską. Nader ograna formuła konstrukcji dramaturgicznej (kilka osób skraca sobie oczekiwanie na coś opowiadaniem swych perypetii życiowych) okazała się w tym wypadku bardzo trafna. Trzy tak odmienne losy tak różnych kobiet stały się potwierdzeniem tej samej prawdy. Kobiety opowiadają o mężczyznach, na których czekają. I nadejście owych mężczyzn nabiera w związku z tym szczególnego znaczenia, znaczenia metaforycznego. Podobnie zresztą jak tytuł filmu. Świadkiem tych zwierzeń jest młoda dziewczyna, która buntuje się przeciw kompromisom i rezygnacji, przeciwko grze i szachrowaniu. Ona jeszcze wierzy. I jej wiara chwilowo zwycięża. Młodzi kochankowie uciekają ze świata czekających kobiet. Oni powrócą — powiada Paweł. Powrócą — myśli Bergman. Albowiem każdy wierzy w odrębność swego losu. I każdy podobnie jak Rachela czy Marta przeżywa moment próby i klęskę samotności. I każdy powraca. Tą nutą gorzkiej mądrości kończy się film, utkany z ironii i groteski, melancholii i liryki. Film, w którym drzemią wątki i motywy przyszłych wybitniejszych dzieł Bergmana. Charakterystyczne dla stylu szwedzkiego reżysera jest wprowadzenie retrospekcji (w opowiadaniu Marty) znamienne dla kilku jego późniejszych filmów.

Film „Kobiety czekają" łączy w sobie zmysłową, niespokojną atmosferę „Wakacji z Moniką" (opowiadanie Racheli) z egzaltowanym lirycznem „Letniego snu" (opowiadanie Marty) i z gorzką ironią „Uśmiechu nocy letniej" (opowiadanie ostatnie). Główna wartość filmu polega chyba jednak na mistrzowskim spor tretowaniu trzech postaci kobiecych, do czego w znacznej mierze przyczyniła się znakomita gra trzech sław szwedzkiego filmu: Anity Björk, Ewy Dahlbeck i May Britt-Nilssen.

EKRANIK

JERZY KOZAKIEWICZ, doskonale znany publiczności łódzkiej z wielu przedstawień w Teatrze Nowym — zagra główną rolę w filmie reż. Stanisława Bareji pt. „Dotknięcie zła". Jest to pierwsza tak odpowiedzialna rola tego aktora w filmie.

„MOST NA RZECE KWAI" — dotrze prawdopodobnie do Polski! Znakomity film Dawida Leana, znany u nas tylko ze słyszenia, zostanie wreszcie zakupiony. Producent „Mostu", który dotąd stawiał drakońskie warunki finansowe, opuścił wreszcie z ceny i są realne szanse, że w przyszłym sezonie film dotrze do polskiej publiczności. Późno — ale musimy się z tym pogodzić — po dużym sukcesie producenci zachodni zawsze się bardzo „drożą" — a jeśli przeczeka się ten okres, może na rzecz kupić za ćwierć po przednio wyznaczonej ceny.

NA BEZRYBIU polskiej komedii filmowej dużą rewelacją, jest podjęcie przez reżysera Jerzego Zarzyckiego ekranizacji popularnego „Klubu kawalerów" Michała Bałuckiego. Zdjęcia rozpoczną się w sierpniu.

POWRÓCILI DO POLSKI nierozłączni reżyserzy — dokumentarzyści Jerzy Hoffman i Edward Skórzewski po dwumiesięcznym pobycie na Kubie. Przywieźli masę ciekawego materiału, z którego po zmontowaniu wykroją parę krótkometrażówek. To będzie na razie ostatnia praca popularnej pary w gatunku dokumentarnym — jesienią Hoffman i Skórzewski mają przystąpić do realizacji pierwszego w swojej karierze filmu fabularnego. Będzie to komedia współczesna.

INNY REŻYSER — znany dotąd jako wybitny dokumentarzysta — Jan Łomnicki — planuje w zespole „Kamera" realizację filmu fabularnego według opowiadania Józefa Hena „Autobusy, jak żółwie". W roli głównej wystąpić ma brat reżysera, popularny aktor teatralny i filmowy, Tadeusz Łomnicki.

DONALD

SCILLA GABEL — DUBLERKA SOPHII LOREN CIĄGLE MIMO PRÓB USAMODZIELNIENIA SIĘ, ŻYJĄCA W CIENIU WIELKIEJ GWIAZDY

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

„WOJNA"

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Ewa Krzyżewska w filmie pt. „Wojna"

Bardzo ważny i aktualny temat niebezpieczeństwa wojny atomowej nie jest, niestety, samograjem filmowym, jak się to może niektórym wydawać. Toteż nie należy się dziwić porażce Cezare Zavattiniego i reż. Veljko Bulajčiča. Ich „Wojna" okazała się filmem słabym dramaturgicznie. Publicystyka tym razem wyraźnie zaciążyła nad formą artystyczną.

W „Wojnie" zabrakło ciekawego dramaturgicznie materiału fabularnego. Publicystyka przemawia do widza lepiej w artykule prasowym, czy w filmie dokumentalnym. Wyeksponowana na plan pierwszy w filmie fabularnym, w dramacie, prowadzi do sloganowości i bombastyczności, do naiwnych symbolów, i uogólnień. Trudno „Wojnę" zaliczyć do ciekawie zrealizowanych filmów. Wiele naiwności (z głównym bohaterem na czele), sentymentalny wątek miłosny, kiepskie makiety — denerwują, zamiast wstrząsać. Zamiast liryki wieje z ekranu melodramatem taniego gatunku.

Niewątpliwie odwagą Zavattiniego było wystąpienie z takim scenariuszem. Odwagą również w sensie politycznym. Pomimo wszystkich słabości „Wojna" zmusza do refleksji, zastanowienia Szkoda, że nie środkami bardziej artystycznie przekonywującymi. Film jest zagranicznym debiutem nie tylko Zavattiniego, ale także naszej Ewy Krzyżewskiej, znanej nam z „Popiołu i diamentu" — Wajdy. Pisać o kreacji aktorskiej Krzyżewskiej byłoby przesadą. Nie mniej Krzyżewska wywiązała się z bardzo słabo napisanej roli stosunkowo dobrze w porównaniu do swego partnera, Antona Vrdoljaka.

MATEUSZ DZIEWISZ

KRÓL i brązownicy

Wyobrażenia współczesnego człowieka o przeszłości historycznej z reguły nie przekraczają pewnego stereotypu pojęciowego, który kształtuje się nie tyle pod wpływem naukowych rozpraw, ile pod wpływem lektury powieści historycznych, zebranych skrzętnie wykopalisk, tego wszystkiego, co z taką pieczołowitością gromadzą muzea historyczne. Dlatego bardziej urzekają nas zewnętrzne akcesoria epoki, owe proporce, kopie, kolczugi, kute w metalu zbroje, odmienność strojów — to wszystko co stanowi zewnętrzną otoczkę życia, aniżeli twórca tego wszystkiego — człowiek. Kiedy mówimy o średniowieczu, to wyobraźnia podsuwa nam z jednej strony obraz ascetycznego mnicha, a z drugiej obraz zakutego w żelazo średniowiecznego rycerza. Nie zdajemy sobie sprawy, że nie tylko upraszczamy obraz przeszłości, ale w jakimś stopniu na miejsce żywych ludzi podstawiamy martwe kukły. Zamiast człowieka, jego indywidualności, temperamentu, jego oddechu i rytmicznych uderzeń serca dostrzegamy to, co jest jedynie zmiennym, podległym ludzkim kaprysom, mało znaczącym dodatkiem.

Nie inaczej wygląda nasz stosunek do innych okresów historii. Choćby wiek XVII. Mówię, rzecz prosta, o Polsce. Po dziś dzień najbardziej sugestywną (a tym samym kształtującą nasze pojęcia, naszą wyobraźnię) pozostała wizja „Trylogii" Sienkiewicza. Owe kontusze, lite pasy, podpalane buty, podgolone czupryny z których kurzy się przy wypitce, wrzask szlacheckich sejmików, brak poszanowania królewskiej władzy, płytka powierzchowna religijność a obok tego męstwo, honor szlacheckiego słowa, swoisty szlachecki patriotyzm, słowem heroizacja, swoiste brązownictwo stanu szlacheckiego — niezależnie od intencji pisarza — deformowało prawdziwy obraz epoki.

Wydaje się, że powieść

historyczna wolna od tych rygorów, jakie krępują badacza-historyka, który przecież nie może pozwolić sobie na hipotetyczną nawet rekonstrukcję ludzkiej osobowości, więcej zyskuje, jeśli podmiotem swoich dociekań czyni człowieka w jego całej złożoności nie ograniczając się do przekazanych dokumentów. Historyka w jego naukowych dociekaniach nie interesują odruchy ludzkiego serca, ludzkie namiętności i ludzkie porażki. Historyk badając działalność polityka, wodza czy króla, ocenia nie człowieka, jako skomplikowaną osobowość, ale jego polityczne, militarne, dyplomatyczne, słowem konkretne do konania. Tak zresztą postępuje i wielu pisarzy powieści historycznych. Jeśli pisze o postaci króla, to splendor spływający z królewskiego majestatu przesłania niejednokrotnie nawet i tym najwybitniejszym twórcom postać człowieka. Bądźmy banalni. Przecież król to także człowiek. Tylko sympflikatorzy mogą sprowadzać działalność władcy do spraw dworu i wielkiej polityki. Natura ludzka, nawet jeśli przyodzia na jest w królewski gronostaj, jest tak samo obarczona słabością, ludzką tęsknotą i potrzebą miłości, wbrew temu co różni brązownicy o królach i wodzach na użytek pospólstwa wypisywali.

A pisali tak nie tylko propagandyści. Robili to także i

znakomici pisarze. Choćby Sienkiewicz, który w „Trylogii" w osobie Jana Kazimierza jedynie blask królewskiego majestatu dostrzegł, a przecież już romantyk Słowacki miał świadomość złożoności, krzyżowania się, wzajemnego wykluczania się racji, jakimi winien się kierować w swoich poczynaniach monarcha, z tymi odruchami serca, które nie zawsze z królewskimi racjami się godziły.

Z tej perspektywy warto przyjrzeć się postaci Jana Kazimierza w powieści Władysława Rymkiewicza „Romans królewski". W płaszczyźnie literackiej postać Jana Kazimierza w powieści Władysława Rymkiewicza jest jakąś być może nawet świadomie niezamierzoną (ale taka jest obiektywna wymowa tej postaci w powieści), polemiką z ujęciem Jana Kazimierza w „Potopie" Henryka Sienkiewicza. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z różnic jakie istnieją między dziełem Sienkiewicza, a utworem Władysława Rymkiewicza. Nie chodzi zresztą o komplementy. Rymkiewicz nie uległ tak przecież frapującej konwencji postaci hierarchicznego mnicha, ale podjął próbę odbrązowienia Jana Kazimierza, pokazania nie tyle dramatu

władcy, co — (przede wszystkim — dramatu człowieka, którego sejm elekcyjny królem Rzeczypospolitej obwołał. Myślę, że postać Jana Kazimierza, niezależnie od oceny jaką wystawiła mu historia — choć sądy historyków nie są bynajmniej jednoznaczne — działała i może działać pobudzająco na wyobraźnię twórcy.

Ex-jezuita, kardynał, przez papieża od ślubów kapłańskich uwolniony, mąż Marii-Ludwiki, wdowy po Władysławie IV, człowiek związany z katolicką myślą francuską XVII wieku; odważny i jednocześnie panicznie lękliwy, bojący się własnego cienia; zmysłowy i kochliwy, targany wyrzutami sumienia i pokutę czyniący. Oto niepełne rysy tej złożonej, pełnej urazów i kompleksów postaci człowieka — Jana Kazimierza, z woli szlacheckiego sejmu na tronie królewskim zasiadającego w czasach, które metaforycznie Sienkiewicz „potopem" nazwał.

Otóż wydaje się, że Władysław Rymkiewicz w „Romansie królewskim" w perypetiach miłosnych Jana Kazimierza z cudną podkanclerzyną Elżbietą Radziejowską, osadzając fabułę powieści w realiach epoki, nie uległ łatwej pokusie, której nawet Słowacki się poddał, i pokazał prawdziwy dramat człowieka, który omotany intrygami i własną słabością, pozostał człowiekiem z krwi i kości. Napisał i Pascal, że człowiek ma w sobie coś z chwiejącej się na wietrze trzciny. Ten sąd Pascala to wyraz nie tylko nieufności wobec natury ludzkiej, ale uświadomienie sobie tego, że osobowości człowieka nie da się sprowadzić do jednoznacznych formułek. I tę złożoność postaci Jana Kazimierza ambitnie i nie bez rezultatu pokazał Rymkiewicz w „Romansie królewskim". Dla tego jego Jan Kazimierz jest postacią ludzką. Będąc postacią historyczną jest jednocześnie jednym z naszych współczesnych. To chyba dobrze. Zmieniają się warunki cywilizacyjne. Człowiek podporządkowując sobie zdobycze nauki i techniki w sposób rewolucyjny zmienia otaczającą go rzeczywistość. Ale jest doprawdy rzeczą zdumiewającą, jak przemiany cywilizacyjne i technizacja życia niewielki wpływ wywarły na pewne sfery ludzkiej osobowości. Sprawy życia i śmierci, wolności i tyranii, miłości i rozpaczy, bólu i cierpienia moralnego obracają się w tej samej orbicie w jakiej obracały się za czasów Platona, Sofoklesa, Kochanowskiego, i Szekspira. Zmieniły się zewnętrzne akcesoria. Pozostała ludzka tęsknota za czymś nieuchwytnym i ludzkie osamotnienie. Dlatego, to, co nazwałbym nakładaniem się dwu płaszczyzn, płaszczyzny historycznej i współczesnej w usytuowaniu literackiej kreacji Jana Kazimierza w „Romansie królewskim", czyni z tej postaci jedno z ambitniejszych dokonań literackich Władysława Rymkiewicza.

Ob. Ścisłowska z ul. Familijnej

W DRODZE

opisanie łodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

Z tymi, którzy z tramwajowej poczekalni szykowali sobie mieszkanie, także nie było o czym rozprawiać. Pod wieczór sumują dzień wyliczając ile zarobili i co zjedli. Zdobycie poczekalni jest błyszczącym epizodem, który przeniósł ich z Pabianic do Łodzi. Na nim kończy się w ich życiu wszystko co mogło pana zaciekawić.

Już lepiej było wdać się w rozmowę z tym co wypoczywa na trawce. Widzi go pan. Wychodzi co rano nad strumyk, kładzie się na boku i przemawia. Potrafi tak godzinami. Pozostałość nałogu. Przed wojną był najlepszym lewicowym mówcą w Rudzie. Nie wytrzymał okupacyjnej przeprawy. Wie że ma zmącony umysł i ta świadomość dobije go któregoś dnia. Zaczepia każdego.

— Przepraszam, powiada, może pan mi pomoże rozstrzygnąć kwestię: moi przyjaciele stracili życie. Trzystu kryje mogiła. Mnie dranie odebrali tylko rozum. Zastrzykami gorączkowo-siarczanymi. Na kim dokonano większej zbrodni? Na nich, czy na mnie? Zgubiłem wartość pieniądza, straciłem smak życia. Więc kogo bardziej skrzywdzili, niech się pan zastanowi?

Gdy to mówi trzeba na niego popatrzeć. Ma na sobie podgumowany płaszcz koloru ziemi, spodnie wystrzępione do kolan, rozczłapane buty i brudną koszulę. Powinno się zawsze porównywać wygląd mówcy z sensem wypowiadanych słów.

Mówi, że jego kat został stracony w Ameryce Południowej. Wie o tym, choć z przyczyn ogólnopolitycznych rząd tego faktu nie ogłasza. Więc co mi pan radzi robić — pyta każdego. Skończyć ze sobą, paragrafu na to nie ma, czy też raczej nie robić głupstw?

Wygłasza codziennie ten sam monolog. Komu się nie spieszy, tak jak teraz nam, przystanie, uśmiechnie się i odchodząc rzuci:

Panie Przeradzki, nie rób pan głupstw. Wstań pan i idź do domu.

Nie wszyscy potrafią się zdobyć na to jedno zdanie. Nie każdy chce ukraść sobie tę chwilę i ten uśmiech. Różni są ludzie, nie na tym samym chlebie chowani choć wypadło im mieszkać w sąsiedztwie ze sobą.

Z góry, na którą prowadzę pana, można się dzielnicy przyjrzeć lepiej niż patrząc jej w twarz ulic. Szeregi świeżych domków jakby dopiero co murarz zdjął z nich rękę. Wille, ogródki, warsztaciki. Z nich powstają ulice, nowe, nieznane. Zagęszczają sobą linie na mapie. Kilka świeżych ulic, parę setek willi rocznie.

Z czego?

Z cegły.

Z czego?

Wie pan co to drukarenka jedwabi i krosna. Właśnie z tych drukarenek, krosien, róż i sałaty. Jeden próbował także z pensji. Nie dokończył. Stracił posadę, przeszedł na państwowy wikt.

Słyszał pan jak określają nasze miasto: obok fabryki — powiadają — stoi tu pałac, obok pałacu — rudera, obok rudery kamienica, obok kamienicy — kwietnik, obok kwietnika — wychodek, a obok wychodka willa. — W Rudzie przewagę mają kwietniki i wille.

Wyrośliśmy cywilizacyjnie ponad okolicę, jesteśmy zasobniejsi mimo, że na każde 10 beczkowozów rozwożących co dnia wodę w Łodzi, dziewięć skręca właśnie w naszym kierunku.

Dziwnie ułożyły się losy tego skrawka miasta. Podczas pierwszej wojny byliśmy obywatelami gminy Brus. Wtedy właśnie zbuntowaliśmy się. Nie z wielkomiejskich ambicji, lecz w obronie własnych żołądków. Gmina krzywdziła Rudę przy rozdziale żywnościowych kartek. Zaczęliśmy walkę o własną administrację. Potem byliśmy samodzielnym miastem, a teraz jesteśmy jedynie fragmentem łódzkiej dzielnicy Górna.

Przed miesiącem wyprowadzili się ostatni przedstawiciele władzy dawnej Rudy; urzędy i milicja.

Zostało nam jedno kino i jedna knajpa. Niezła proporcja jak na ten kraj.

Do górki jeszcze kawałek. Ta, to ulica 3 Maja. Słynie z Cyganów. Przywędrowali w czterdziestym dziewiątym i czort ich podkusił osiedlić się właśnie tu. Zajęli dwa baraki, a rozleźli się po całej dzielnicy. Wieczorami pili, śpiewali romanse, potem dźgali się nożami. Byli czyrakiem na tyłku dzielnicy.

Uspokoiło się, gdy część z nich wyjechała. Pozostali założyli spółdzielnię pracy „Nowa Droga"; wzięli sobie na głównego księgowego Polaka i dorabiają się.

Księgowy jest jedynym gramotnym w tym towarzystwie. Szanują go, wożą samochodem, goszczą. Przystroili baraki w anteny telewizyjne. Jedną wetknęli nawet na dach wozu cygańskiego. Ich król, Kwiek, powiada, że był w Rosji ministrem do spraw osiedlenia. Minister, a zaledwie podpisać się potrafi. Pół czaszki ma z metalu. Tak go urządzili ci z taborów, gdy ich namawiał do zaprzestania rajzy. Stało to się tu, w Łodzi, w tuszyńskim lesie. Rozwalili mu czerep na dwoje. Szedł drogą. Wyszły mu naprzeciw Cyganki. Spod spódnicy wystawały portki. Prawie trupa odwieziono do szpitala. Ledwie Kwiek wydobrzał z połową naturalnej, z połową sztucznej czaszki, poszedł do KC prosić by darowano napastnikom więzienie.

— Przyzwoity facet. Z Cyganów chce zrobić ludzi.

— Wstydu nie macie — woła do tych z taborów. Żeby wciąż rajzować, kraść kury, i grabić siano. Załóżcie spółdzielnię „Precyzja", pobielajcie kotły, bądźcie użyteczni. Pomyślcie o swych dzieciach.

Rajzownicy odpowiadają mu na to, że Kwiek zdradził Cyganów, że przestał nim być. Kwiek musi mieć dowody, że Cyganem pozostał. On i cała jego grupa.

Za zdradę męża obcinają Cygance warkocz, załatwiają między sobą porachunki w oparciu o własny, niepisany kodeks. Bez faktorstwa władzy. Respektują prawo narzeczonego do porwania wybranki, a gdy miasto chciało im wybudować blok, odmówili grzecznie.

Cyganka nie może mieszkać nad Cyganem — perswadowali urzędnikom.

Stawiają im teraz na Rokiciu 18 domków jednorodzinnych, by zadość uczynić cygańskiej tradycji. Do domków tych wprowadzą się Cyganie ZMS-owcy i ci, którzy powrócą z wojska. Kilku chce się zapisać do partii. Powiadają, że odpowiada im praca, Polska i PZPR. Cholera ich wie, cyganią czy też nauczyli się mówić prawdę.

Zeszłego roku Cyganka porzuciła męża, uciekła z Polakiem. Cygan zabrał się z Polką. Zostawili dwoje dzieci. Nie zginą. U Cyganów skoro jeden ma chleb

NA SZCZYT

II nagroda w konkursie „OPISANIE ŁODZI"

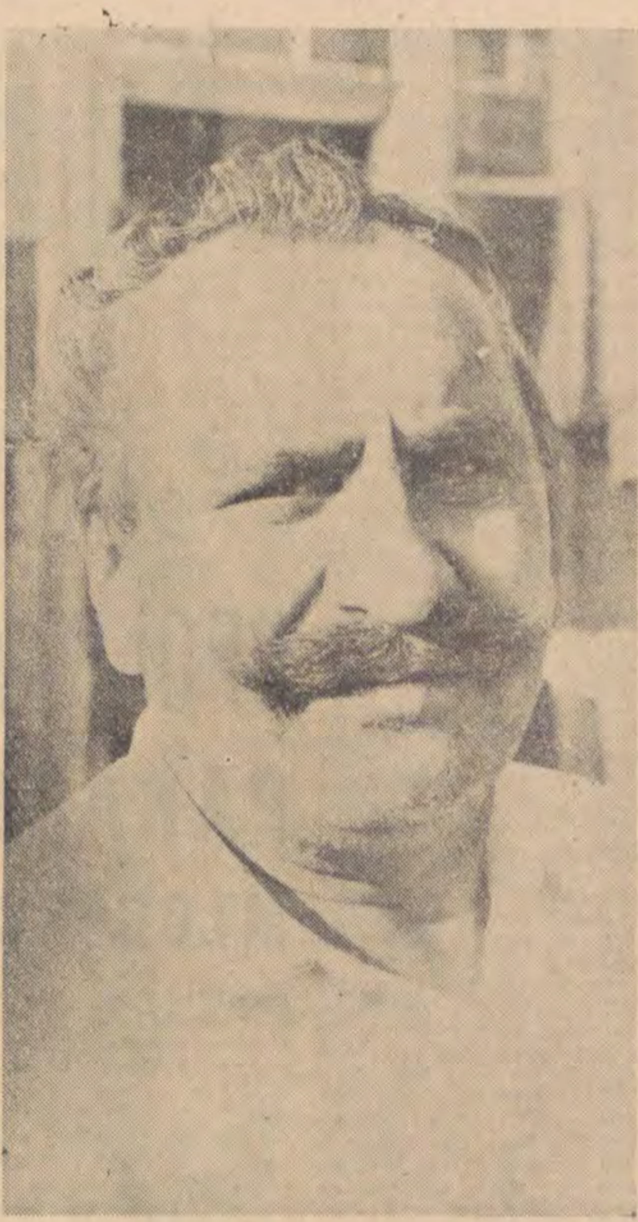

Kwiek, król Cyganów

mają go wszyscy. Dzieciaki chowają się na rachunek reszty. Matka i ojciec nie zajrzeli od tamtego czasu. Cygana, boi się puścić żona, Cyganka, nie przychodzi ze wstydu. Wie, że nią wzgardzili.

Tymczasem na Rokiciu popłoch. Ludzie zapierają się nogami o własne progi i krzyczą, że Cyganów za sąsiadów mieć nie chcą i nie dopuszczą. Zarazy pod nosem nie zniosą. Komedianci.

Odwiedziłby pan Ścisłowską, ona by panu powiedziała jak potrafią układać się między sobą ci, co krzyczą o cygańskiej zarazie.

Ścisłowska mieszka na Familijnej. Ma tuzin społecznych funkcji i zna przynajmniej pół Rudy. Zastępuje ludziom sąd, radę narodową, milicję, konfesjonał i adwokatów. Stara towarzyszka, której nie wyziębło serce.

Męża jej, majster szwab, oblał — jeszcze w czterdziestym trzecim — kubłem zimnej wody. Chlusnął na niego gdy ten leżał w kanale, pod wozem. Mechanikiem był. Woda zamarzła Ścisłowskiemu na skórze. Termometr wykazywał wówczas czterdzieści stopni mrozu. Z potężnego chłopa zrobił się sopel lodu. Majster sięgał mu do pasa, wypierdek z wąsami, ale czuł się silny. Rudę wtedy nazywano „Małym Berlinem". Wezwany lekarz niemiecki odpowiedział, że nie ma zwyczaju pomagać Polakom. Po jakimś czasie sparaliżowało chłopa.

Ścisłowską w czterdziestym szóstym potężny huragan przeniósł kilkadziesiąt metrów i rzucił aż na Pabianicką. W chałupie zerwało jej dach. Własnymi siłami naprawiała go, zarabiała na dom pielęgnowała męża i chowała dwójkę dzieciaków.

Dziś, od rana grzebie w ogródku, po południu biega za cudzymi sprawami, wieczorem bawi wnuków. Co miesiąc dostaje rentę dla zasłużonych. Przychodzą do niej sąsiadki skłócone posiadaniem wspólnej grządki w ogródku. Proszą o mediację. Zjawiają się kobiety zaniedbywane przez mężów. Wiedzą, że skoro Ścisłowska nie wahała się wygarnąć w oczy Adamiakowi, że jest pijus, niegodny stanowiska przewodniczącego komitetu blokowego, nie ulęknie się byle starucha, któremu nagle zachciało się zmieniać żonę na młodszą. Przybiegają ludzie pytać o los dzielnicy, bo ktoś puścił wieść, że całą Prądzyńskiego burzyć będą, nachodzą, by MPK pobudowało wreszcie daszek nad pobliskim przystankiem.

Niedawno zapukała kobiecina, która samym widokiem budziła litość. Wychudła, nędznie odziana, z twarzą jak wyciśnięta cytryna. Powiada, że jest bez pracy. Ma troje dzieci, lecz nie ma z czego żyć. Mąż powiesił się cztery lata temu, z nerwów. Odziała Ścisłowska kobiecinę, nakarmiła obiecała załatwić pracę, dała dla każdego dziecka po 10 złotych.

Coś ją jednak tknęło, czy nie za szybko wyrwała się z tą dobroczynnością. Poszła przekonać się.

Na podwórku spotkała umorusanego i zaszczanego dzieciaka. Mimo chłodu ubranko przeświecało mu, zjadał glut spod nosa.

— Czyje to? — spytała sąsiadów.

— Tej i tej — odpowiedzieli.

— A gdzie ona?

— Od dwóch dni pije w melinie i gra w karty z chłopami.

Zaraz przyjdzie starsza córka, to se pani będzie mogła z nią porozmawiać.

Zawzięła się Ścisłowska, czekała trzy godziny. Dzieciak zlał się jeszcze parę razy i wciąż biegał po podwórku. Mamunia zabawiała się gdzieś uparcie, a sąsiedzi spokojnie trawili zjedzony obiadek.

Nadeszła wreszcie czternastoletnia córa. Dorodna pannica, sypiająca w jednym łóżku z matką i jej kochankiem.

Nazajutrz, skoro świt, kobiecina przybiegła do Ścisłowskiej. Przez podwórko szła na klęczkach. Obejmowała ją pod kolana i próbowała całować jej ręce.

— Niech mi pani nie odbiera dzieciaków — zaklinała. Na wszystko się zgodzę, tylko muszę zostać z nimi.

Od poniedziałku zaczęła pracę. Zbliża się pierwsza wypłata. Jeśli jej nie przepije, dotrzyma słowa. Może którego dnia przyjdzie i podziękuje Ścisłowskiej, jak to przytrafiło się niejednej i niejednemu.

Skręćmy panie w tę ulicę. do górki już niedaleko. Po lewej hale fabryczne „Pierwszej Rudzkiej", po prawej zakłady „Armii Ludowej". Tu pracowała Gościmińska. Pamięta pan to nazwisko. Słynne było kiedyś. Skojarzyło się z Łodzią, jak Piotr z Pawłem.

Pierwsza kobieta w kraju odznaczona orderem Budowniczego Polski Ludowej. Po mojemu powinna jeszcze dostać medal za odwagę. Trzeba było mieć, panie, wtedy odwagę podjąć pracę z trzech stron maszyn.

Kwiek nosi w czaszce metal, bo był pierwszy za osiedleniem Cyganów, Gościmińska musiała połykać łzy, ścierać rano z uchwytów gówno i charki, bo wraz z Lucyną Mielczarek zdecydowała się obsługiwać trzy strony maszyny. Pierwsza. Od lat już wszystkie prządki tak pracują i nikt je za to nie wyróżnia, ale trzynaście lat temu ktoś musiał udowodnić, że to jest możliwe. Gościmińska udowodniła. Bohaterami spośród nas są tylko ci, którzy pierwsi stawiają stopy, na nieznanej ziemi. Reszta udeptuje już tylko ścieżkę, choćby wiatr zwiał pierwsze ślady i choćby ten pierwszy nie idąc prosto, potykał się w dodatku co krok. Mógłby pan wieczorem zajrzeć do Gościmińskiej. Jest dyrektorem zakładów Rewolucji 1905 roku. Mieszka w tym samym domku, który wraz z mężem zaczęli szykować przed wojną. Dawniej to był wygwizdów, — teraz — sam koniec Rudy. Dwa skromne pokoiki, kawałek ogródka. Tak jak większość w tej dzielnicy. Nocami przygotowuje się do egzaminów. Kończy technikum włókiennicze... Jedna córka ma dyplom uniwersytecki, druga zdobywa zawód fryzjerski.

Cóż o tej Gościmińskiej ludzie nie gadali. Szczególnie zawzięli się na nią majstrowie. Przed wojną — przypominali — strycharką byłaś i endeczką, a teraz do rządów się pchasz?

Najlepiej odpowiadała im Ścisłowska. Mówiła spokojnie, niby bez nerw.

— Ojciec Gościmińskiej ugniatał glinę nogami w cegielni, nic w tym złego — był strycharzem, a co do rządów, to wyście też przed wojną komunistami nie byli. Gdyby tacy jak wy kochali socjalizm, nie trzeba by nań czekać do czterdziestego czwartego roku. — Tak im dogadywała, wyrabiała się z niej mówczyni, w zastępstwie Przeradzkiego, który już wtedy zaczął wychodzić na łąkę by przemawiać do siebie. I popatrz pan, majstrowie są dziś inżynierami, dorobili się stanowisk, nawet Cyganie do partii chcą się zapisywać.

Ot i wszystko. Resztę może pan sobie sam dośpiewać: o awansie i przeciwnościach losu. Tak jest we wszystkim. Zrozumieliśmy się, to dobrze, Bo teraz chciałem panu opowiedzieć dowcip. Wie pan kim był Tuwim? Tak, Julian, ten sam. Był grafomanem. Gdyby to ogłoszono wcześniej pewien energiczny i ambitny człowiek nie musiałby zmieniać zawodu. Nie był zorientowany i dostał za swoje. Na nazwisko ma Mroczkowski, jest dekoratorem, reżyserem i poetą w jednej osobie. Był dotąd zatrudniony na etacie majstra w „Armii Ludowej". Dostawał tysiąc z hakiem miesięcznie i harował 16 godzin na dobę uprawiając poletko kulturalne. Prowadził trzy zespoły teatralne. Za marne grosze wyszykował świetlicę i salę widowiskową. To co u innych kosztuje setki tysięcy on robił za złotówki. Bez opłacania pomysłów do projektów bez dokumentacji, psim swędem i wielkim nakładem pracy.

Partyjny sekretarz dzielnicy prosił go do siebie przed każdym świętem.

— Mroczkowski — powiadał — potrzebna nam będzie dekoracja.

— Sekretarzu — mitygował się czasami Mroczkowski, dużo roboty, macie przecież na swoim terenie zawodowych plastyków.

— Oni tam gówno potrafią — stwierdzał lapidarnie Sikora. Daj im zaraz do byle czego sztab ludzi i furmankę pieniędzy.

Wy to potraficie jakoś tak sami i bez forsy.

Otóż ten Mroczkowski mimo, że wcina kartofle, jak inni lubi narkotyzować się poezją. To go zgubiło. Zebrał kilkunastu robotników, utworzyli teatr. Zachciało im się bronić miasta, przed odzywającymi się co rusz głosami, że Łódź jest macochą dla twórców, że trzeba stąd zabrać szkołę filmową, bo młodzi więdną, a miasto ich nie zapładnia. Jakaś cholera siedzi w atmosferze i zabija wszystkie twórcze plemniki. Bezpłodność i impotencja zagraża tu talentom. Wybrał się Mroczkowski do młodych poetów z propozycją: zmontujcie spektakl, który wykaże, że bruk łódzkich ulic nie jest najgorszą glebą dla prawdziwych talentów. Mój zespół jest gotów do prób.

— Dobrze bracie, przyjdziemy, wybierzemy najlepsze strofy tu zrodzone, staniemy okoniem przeciw fali — odpowiedzieli mu, i nie przyszli.

Umawiali się raz, drugi i trzeci, zawodzili za każdym razem. Jeden tylko okazał się słowny i towarzysko wyrobiony. Przyszedł, choć nogi nie bardzo go chciały nieść, przeprosił.

— W takim stanie — rozumiecie kolego Mroczkowski, nic nie wymyślę — powiedział, czknął i zamknął za sobą drzwi.

Sami, na własny smak i wyczucie, zmontowali program. Dali mu tytuł: „Poemat o Łodzi". Znalazły się w nim strofy Broniewskiego i Tuwima, Sztaudyngera i Piechala, Giegiera, Piotrowskiego i Wilmańskiego, a gdy brakowało zamykającej całości klamry, Mroczkowski sam usiadł nad kartką papieru i wysmażył wiersz o mieście, które „dotąd było matką nie zdradzającą swych synów". Czterdzieści pięć minut obrony Łodzi.

Przyszła wysoka komisja ocenić, czy przypadkiem nie wysłać teatru na festiwal ogólnopolski do Koszalina. Obejrzała, pokręciła nosem. Zdyskwalifikowała, tak samo jak pięć pozostałych teatrów poetyckich miasta. Nikt nie został wyróżniony.

Ktoś z komisji szepnął w tajemnicy Mroczkowskiemu na ucho: po co oparliście program na Tuwimie. Na przyszły rok musimy się postarać o nowe teksty.

Ktoś inny, także konfidencjonalnie, opowiedział jak to w ubiegłym roku w Krakowie juror ogólnopolskiego konkursu recytatorskiego podszedł za kulisami do zdobywczyni pierwszego miejsca i oświadczył:

— Niech pani wie, że ja za panią nie głosowałem, bo pani recytowała Tuwima, a Tuwim to nie poeta tylko grafoman.

Mroczkowski uważał się dotąd za Donkiszota, ludzie jednak postarali się mu udowodnić, że jest tylko kobyłą na której ten nieszczęśnik jeździł. Przekonali go, że Łodzi nie ma co bronić a w każdym razie nie on jest do tego powołany ze swym zespołem z przedmieścia. Odebrali mu rację, z którą, jak sądził, zwycięży.

Odchodzi na zwykłego, fizycznego robotnika do sąsiednich zakładów. To nie gest. Chłop ma pięćdziesiątkę, siwe i rzadkie włosy. Za stary jest na gesty. Po prostu czuje się jak nie wywietrzone mieszkanie. Musi otworzyć okno. Pooddychać trochę innym powietrzem. Często zdarza się to ludziom wrażliwym. Rozłażą się, panie jak portki w szwach. Muszą wtedy odejść od samych siebie. Zacząć żyć jakby narodził się nagle drugi człowiek tyle, że z tą samą gębą. Tego wymaga higiena psychiczna. Odejdzie Mroczkowski, zostanie nam wtedy jeszcze cygański zespół „Novo Drom", ale i Cyganie niedługo mają się od nas wyprowadzić. Zmęczyłem pana, na szczęście już górka. Jesteśmy na miejscu.

Zapomnij pan o tym co przez drogę nagadałem. Rozkoszujmy się widokiem. Ładnie u nas, wszak Ruda to płuca Łodzi. Zimą dzieciaki będą stąd zjeżdżać na sankach.

Czemu teraz tak dziwnie się nam przyglądają, obchodzą zachowując przyzwoitą odległość. Słyszy pan co oni mówią? Że dziwny jakiś facet przyszedł, stoi i sam do siebie gada.

Przestańmy więc, wystawmy twarze do słońca, nie trwóżmy maluczkich.

JERZY AMBROZIEWICZ

Zdjęcia: E. KUDAJ

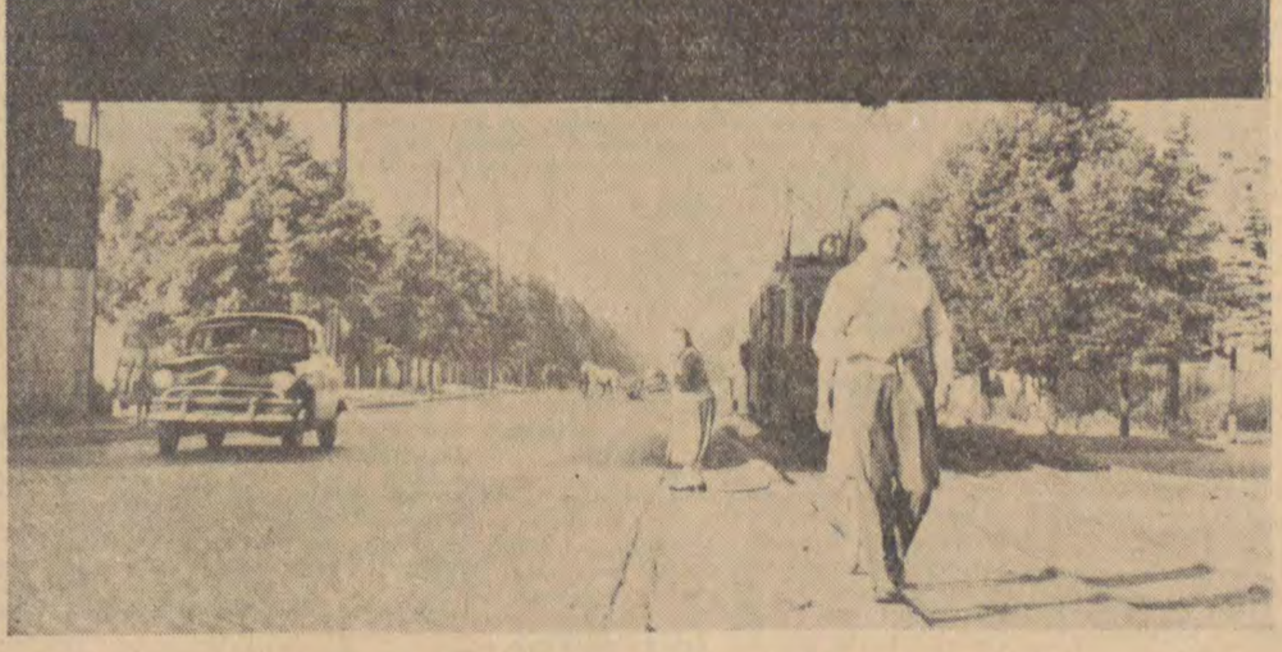

Most przy Kolei Obwodowej, granica pomiędzy Łodzią a Rudą

opisanie łodzi

OPOLSKA PARADA MŁODOŚCI

JERZY WILMAŃSKI

Na jednej z bocznych ulic Opola widziałem wmurowaną w fronton starej kamieniczki tablicę pamiątkową. Tutaj mieścił się kiedyś polski bank spółdzielczy. Powie ktoś — megalomania. Czyż jakiś tam bank spółdzielczy, choćby najbardziej sprawny, zasługuje na tablicę pamiątkową?

W Opolu na pewno tak. Na pewno nie bardzo sobie wyobrażamy ile treści zawiera w tym wypadku, w tym miejscu, na ulicy Piastowskiej skromny spowszedniały już dla nas przymiotnik „polski".

Właśnie dlatego bardzo mądre było posunięcie Komitetu Centralnego Związku Młodzieży Socjalistycznej lokalizujące pierwszy ogólnopolski przegląd zespołów artystycznych ZMS w mieście, które wróciło do nas po tylu latach.

Nic więc dziwnego, że zarówno władze jak i mieszkańcy Opola przyjęli ZMS-owski festiwal bardzo serdecznie. Na trasie korowodu blisko pięćdziesięciu zespołów co chwila wybuchały brawa. Trasa przemarszu załoczona była jak nieprzymierzając w czasie kolarskiego Wyścigu Pokoju. Opole świętowało.

Na koncercie na wyspie Bolko o godzinie drugiej w nocy opolska publiczność nie chciała puścić z estrady występujących zespołów. Nasz łódzki „Tiger Rag" przyjęty tam został równie entuzjastycznie jak w sali Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie odbywał się przed dostojnym jury przegląd piosenkarzy i orkiestr jazzowych.

Z prasy codziennej wiadomo, że wspomniany wyżej zespół zdobył na festiwalu II nagrodę. Jest to oczywiście wyróżnienie bardzo wysokie zważywszy naprawdę silną konkurencję. Tylko... mogło być lepiej. Nie jest to oczywiście pretensja do świetnie grających chłopców z „Tiger Rag", nie jest to również pretensja do jury. Proces o zniesławienie również wcale nie jest marzeniem niżej podpisanego, dlatego więc nie będziemy wspominać o pewnych raczej poza artystycznych względach jury, które zadecydowały o przyznaniu najwyższej lokaty zespołowi jazzowemu z Rybnika.

Nie przemawia przez nas lokalny patriotyzm ,ale takie łódzkie zespoły, jak teatrzyk poezji „Bąbelek" czy zespół jazzowy z Piotrkowa przyjęte zostały przez widownię naprawdę bardzo dobrze. A trzeba wziąć pod uwagę, że była to widownia wyrobiona, składająca się poza tym w poważnej części z mało skorej do pochwał i aplauzów „konkurencji". Niestety, jury nie wzięło pod uwagę ani interesującej reżyserii i scenografii programu „Bąbelka" ani samodzielnej aranżacji (kapitalnie zagrany utwór na motywach „Miała baba koguta") — zespołu z Piotrkowa.

Jeśli idzie o młody piotrkowski zespół kierowany przez Lecha Kociniaka, kierownika tamtejszego Wydziału Kultury, to może zainteresuje czytelnika jego skład osobowy. Otóż grają w nim szklarz, tokarz, uczeń i dwóch ślusarzy. To bardzo sympatyczny i pocieszający objaw. Oto dobra muzyka przestała być domeną wąskich i ekskluzywnych grupek. A jazz w wydaniu niemal wszystkich prezentowanych na przeglądzie zespołów był z całą pewnością ową dobrą muzyką.

Trochę inaczej było z przeglądem piosenkarzy. Słuchacze mieli okazję podziwiać kilkanaście Sław Przybylskich tudzież wielu Połomskich i Gniatkowskich, co w tym drugim wypadku świadczy nie tyle o braku własnego genre co o diablo złym guście.

Jerzy Garniewicz z łódzkiego Stadium Nauczycielskiego oraz Jerzy Miziołek — zdobywcy I i IV nagrody — byli właśnie, co się nie często zdarza, po prostu sobą. A ponieważ pokazali dobre głosy, inteligentną interpretację utworów spotkali się z wysoką oceną zarówno publiczności jak i tym razem łaskawego jury.

Powrót łódzkiej grupy z opolskiego przeglądu nie był więc, mimo zmęczenia uczestników, powrotem smutnym. Łódzka młodzież „poderwała", mówiąc potocznie, sporo nagród. Dodajmy jeszcze I nagrodę Barbary Rajkowskiej oraz II nagrodę Mirosława Karolaka w dziedzinie recytacji. A propos Karolaka — ten zdolny recytator (wykonywał świetną „Krucjatę dziecięcą" Bertolda Brechta.) to kierownik Wydziału Kultury z Kutna.

Jest to więc drugi działacz kulturalny z naszego województwa biorący z powodzeniem udział w festiwalu. A może wreszcie przełamana zostanie nie zawsze najlepsza zasada zatrudniania „w kulturze" nie zawsze najlepszych „teoretyków".

Sprawa nagród i wyróżnień dla łódzkich zespołów i solistów to nie tylko sprawa ambicjonalna. Fakt, że młodzi łodzianie co raz bardziej się liczą, coraz częściej zbierają laury na różnego rodzaju imprezach kulturalnych świadczy napewno dobrze o sprzyjającej atmosferze, o przychylnym stosunku do ruchu kulturalnego młodych w naszym mieście. Jeśli łódzka organizacja ZMS-owska przyjęła i z powodzeniem spełnia rolę mecenasa tego ruchu — należy to chyba odnotować z dużym uznaniem.

Jerzy Garniewicz — I miejsce w piosence
Foto — Kazimierz Łuczak

Barbara Rojkowska — I miejsce w recytacji
Foto — Kazimierz Łuczak

GOTTFRIED BENN
(1886 – 1956)

Przełożył STANISŁAW KASZYŃSKI

7 lipca br. mija piąta rocznica śmierci G. Benna, najwybitniejszego obok R. M. Rilkego współczesnego poety niemieckiego. Urodzony w 1886 roku w Mansfeld na Pomorzu Zachodnim w rodzinie wiejskiego pastora, poświęcił się medycynie, studiując na uniwersytetach w Marburgu i w Berlinie. Zdobywał równolegle imponującą wiedzę w zakresie nauk przyrodniczych. Osiadłszy w Berlinie, gdzie spędził niemal całe życie, pracował do końca jako lekarz-dermatolog, cieszący się znaczną praktyką. Debiutował tomikiem wierszy „Trupiarnia" (Morgue) w 1912 roku, który zapoczątkowuje drugi okres poezji ekspresjonistycznej. Przez długie lata, w czasach hitleryzmu, milczał. Szczególnie zainteresowanie krytyki wywołał tomem „Wierszy statycznych" (Statische Gedichte), wydanych już po ostatniej wojnie (1948). Spuścizna poetycka Benna nie jest rozległa—w sumie wydał jedenaście tomików wierszy, opowiadań, esejów i dramatów. W 1957 r. ukazały się w Zurichu jego „Wiersze zebrane" (Gesammelte Geditche).

S. K.

Mężczyzna i kobieta idą przez barak rakowatych

W tym rzędzie łona w rozkładzie, a w tamtym
piersi w rozkładzie. Każde łóżko śmierdzi.
Siostry oddalać się muszą co godzinę.
Zbliż się, odkryj spokojnie derkę i patrz:
Ta bryła tłuszczu i cuchnących cieczy
była niegdyś rosłym mężczyzną
i ekstazą była, i ojczyzną.
Podejdź, obejrzyj ten stygmat na piersi.
Czujesz różaniec z rozmiękłych gruzłów?
Można dotykać. Rozpadła tkanka, nie boli.
Ta tutaj krwawi jakby trzydziestoma ciałami.
Tyle krwi żaden człowiek nie ma.
A tej oto wycięto
dziecko z rakowatej macicy.
Pozwalają im spać. Cały dzień i noc cała.
Przychodzącym mówi się: tu się dopiero wyśpisz.
Jedynie w niedzielę są na pół czujni w czasie wizyt.
Nie przyjmują prawie posiłków. Plecy w czerwieni ran.
Spójrz, ileż tu much. Niekiedy obmywa ich siostra
jak szoruje się ławy.
Tu w promieniu łóżek nabrzmiewa już ziemia.
Mięso osiąga płaszczyznę roli. Krzepnie żar.
Soki gotują się do odpływu. Przyzywa ziemia.

(z tomu „Trupiarnia")

Pociąg pospieszny

Brązowy jak koniak. Brazowy jak pień.
Jasnobrązowy. Malajsko żółty.
Pociąg: Berlin—Trolleborg i kurorty bałtyckie.
Mięso pędzące nago.
Aż do zaczadzenia ust morzem.
Głęboko pochylone, w stronę greckiego szczęścia.
W sierpach — tęsknota: jak rozległe jest lato!
Już przedostatni dzień dziewiątego miesiąca!
Rżyska i ostatnie mendle usychające w nas.
Rozluźnienie, krew, zmęczenie.
bliskość georginii wprawia nas w odrętwienie.
Brąz mężczyzn wbija się w brąz kobiet.
Kobieta jest czymś na jedną noc,
o ile było pięknie, jeszcze na następną!
Och! A potem znów to: Przy Tobie Tylko Być!
Ta niemoc! To opętanie namiętnością!
Kobieta to jest coś z zapachem.
Niewypowiedziane! Zgiń! Rezeda.
W tym jest południe, pasterz i morze.
Na każdej pochyłość! tkwi szczęście.
Jasny brąz kobiet wdziera się w ciemny brąz mężczyzn.
Powstrzymaj mnie! Słuchaj, ja padam!
Jestem już tak zmęczony.
Och, ten drżący, słodki,
ostatni zapach ogrodów.

JAN HUSZCZA

Ford Thunderbird

Gdy Frąckowiak wracał z próżną torbą brezentową, przed wejściem do klatki schodowej stał duży wóz o wymyślnie kratowanym włocie do chłodnicy i lśniących, spoconych w mżącym deszczyku, zderzakach. Przód wozu przypominał rozwartą w złym uśmiechu, szczerzącą jakby kły, paszczę olbrzymiej ryby. Całość można było zobaczyć, jeśli komu wyobraźnią chciało się zatargać, także jako rybę.

Frąckowiak zauważył, że obok młodego kierowcy siedzi Agnieszka. Agnieszka też chyba ojca od razu zauważyła, gdyż Frąckowiakowi wydało się, że natychmiast skulila się, a kasztanowe jej włosy przesłoniły czoło i oczy. Nim jednak zdążył, wachlując wędkami w powietrzu, dopaść do samochodu, ten ruszył i tylko złośliwie rozchlapał czerwone od spodu kałuże.

„Czekaj że, szlajo, nie ja będę, jeżeli ci tego nie wybiję z głowy!" — wściekł się Frąckowiak. Może byłby łagodniejszy, gdyby w torbie trzepotały się bezradnie karpie lub karasie i gdyby znowu nie zaczęło lać.

Maj byłby nawet ładny, cóż kiedy ciągle padało... A jak tyle było deszczów, to i chłody za nimi przywlokły się, ziąb straszył w mieszkaniach. W osiedlu rozkwitło kilka krzaków bzu, komuś coś zakwitło na paru klombach, ale po ścieżkach między czterema czerwonymi domami, chodziło się jak po mazi z gliny i z tego, co rozrzutnie zostawiono po wzniesieniu tych domów.

Osiedle zaplanowano za miastem, kończono przedłużanie toru tramwajowego, aby pętlica miała gdzieś w pobliżu swoje miejsce. Dużo więc jeszcze było wykopków i rozkopków, dołów po wapnie, jakichś olbrzymich garści ziemi, wyrzuconych przez koparkę, potłuczonej cegły, szkła.

Budowniczowie, jak zwykle, nie sprzątnęli po sobie, przypominając tym kiepskich biesiadników, po których zostają rzygowiny. Zresztą, osiedle miano w przyszłym roku rozbudowywać, na dowód czego zostawiono betoniarkę i kilka innych maszyn. Mokło to wszystko.

Widok ten jakże denerwował buchaltera Frąckowiaka! Mieszkał tu jednak od paru zaledwie tygodni — podobnie jak i większość — i odwlekał zwołanie komitetu mieszkańców czy czegoś w tym rodzaju, żeby zorganizować jakieś zbiorowe sprzątanie i w ogóle jakąś „społeczną inicjatywę"...

Na razie jednak Frąckowiak czas wolny spędzał z wędkami, przy niedalekim rozlewisku.

Z podziwem i uznaniem patrzył na pobliską, samotną willę, która jak młody borowik we mchu kusiła schludną zamożnością, otoczona siatką druciana.

Willę zbudowano nieco wcześniej, niż domy oddano do użytku. Należała do „milionera", o którym Frąckowiak na razie nic więcej nie słyszał.

Chętnie natomiast interesował się współmieszkańcami czerwonych domów. Byli to urzędnicy, paru lekarzy, jacyś kolejarze i robotnicy. Zawierał znajomości, chodził już nawet dwa razy na telewizję do sąsiada, który był działaczem sportowym i często jeździł za granicę.

* * *

A więc, jak się okazało, właścicielem willi był Doleda! Ten niski grubas, zawsze pewny siebie, o twarzy łatwo zmieniającej swój wyraz.

Cholera jasna, jaki pech! Właśnie jego syn podmacywał córkę Frąckowiaka!

Wykluło się z ciemnego zapomnienia zdarzenie sprzed trzech lat, o którym buchalter w swoim czasie długo i początkowo bezskutecznie starał się zapomnieć. Od dłuższego czasu wydawało się, że było po wszystkim. I oto znowu tamto wydarzenie nabierało ponurej ostrości.

Frąckowiak pracował wtedy w „Orbisie" i od niego zależały wycieczki zagraniczne. Raz nawet został kierownikiem wycieczki do Bułgarii, w podnieceniu to przeżywał — ostatnie lata dzieliły się na „przed Bułgarią" i „po Bułgarii".

Nie takie jednak wycieczki stanowiły pożądaną atrakcję dla niektórych turystów. Zabiegali oni o wypady na Zachód, o podróże statkiem do portów różnych krajów. Choć były cholernie — w skali możliwości takich ludzi jak Frąckowiak — drogie, przecież nigdy nie było dostatecznej ilości miejsc dla chętnych.

Szło właśnie o jedną z takich wycieczek po morzach Czarnym i Śródziemnym. Stanął przed nim niski grubas z przymilnym uśmiechem.

— Panie Frąckowiak, chodzi mi o ten statek „Transylwania"!

— Skąd pan zna moje nazwisko?

— Jak się u kogoś chce coś załatwić, to musi się go znać! No nie?

Frąckowiak był nawet mile zdziwiony, poczuł się ważny, co na ogół rzadko mu się zdarzało. Poczucie ważności, choć by przelotne, od razu zmienia człowieka. Frąckowiak odparł, że miejsc nie ma, chociaż właśnie jego oddział dysponował jeszcze dwoma miejscami...

— Doleda pana prosi! — grubas rozejrzał się i szybko położył na szkle kontuaru szarą kopertę na poparcie swojej prośby. — To na koszta... manipulacyjne! Jak kto mało zarabia, to tym patyczkiem można się czasem ładnie podeprzeć!

Tak to Frąckowiaka zaskoczyło, że kopertę zsunął ze szkła do otwartej szuflady. Chorowała Agnieszka na żółtaczkę i Frąckowiak widział w kopercie możliwości lepszych dla niej wiktuałów.

— Jakoś to dyrektorowi załatwi się... — odrzekł głosem, w którym tym razem była obca Frąckowiakowi pokorna usłużność.

— No... — ucieszył się Doleda. — Trzeba tak postępować, żeby i sam człowiek miał zadowolenie i ludzie mieli z niego zadowolenie.

Nic się właściwie nie stało, ot, zdarzył się wypadek, jakich codziennie w całym kraju wiele się zdarza. I przecież co kogo obchodziły wycieczki: ten pojedzie czy kto inny?! Może nawet zorganizować sobie od czasu do czasu takie uzupełnienia pensji?

Ale po jakimś upływie czasu Frąckowiak tak ciężko zaczął to przeżywać, czuł się jak gdyby na całe życie odebrano mu jego godność. Zaczął stosować w stosunku do klientów biura selekcję własnego pomysłu. Przy droższych wycieczkach pytał klienta pod byle pretekstem — żeby wiedzieć choć w przybliżeniu, czy uczciwie zarabia pieniądze — o zawód i w zależności od odpowiedzi wciągał go na listę lub też to wciąganie jedynie pozorował. Skarżono się na niego. W końcu zmienił pracę i ulokował się w buchalterii dzielnicowej dyrekcji miejskiego handlu. Miał się nawet rozpić, ale rozsądnie wybrał jednak wędkarstwo.

I teraz oto sprawa wróciła: za sąsiada co prawda nie najbliższego, ale zawsze dającego się słyszeć dzięki warkotowi motoru, ma „milionera", a jego syn pewnie dobrze już zdążył obmacać Agnieszkę. Agnieszka zgodnie z matką twierdzą, że Jerry Doleda to dobry chłopak i ma porządne zamiary. Nawet gdyby tak było, gdyby został teściem, to wyszłoby zawsze na to, że ojciec zięcia jak by sprał kiedyś Frąckowiaka po pysku. Ale przecież skąd taki samochodziarz może mieć poważne zamiary? I nawet chyba lepiej, że nie ma poważnych zamiarów? Dziewczyna jest zresztą na czwartym roku medycyny i tylko nauka ma prawo być jej w głowie! Tak jest, do jasnej cholery!

Frąckowiak myślał prawie głośno, patrząc na szyby, po których znowu rozmazywał się deszcz — deszcz tym razem chyba ciepły, gdyż krzak bzu naprzeciwko jakby na oczach rozrastał się.

* * *

Do Frąckowiaka coraz częściej zaglądali sąsiedzi, szybko zaczęły wytwarzać się wśród lokatorów sympatie i antypatie, zmienne zresztą, jak zwykle w takich wypadkach, podlegające różnym fluktuacjom.

Prędko zniechęcił się buchalter od fryzjera Japuły, choć skądinąd był go ciekaw, gdyż fryzjer z racji swego zawodu obsługiwał mieszkańców willi — a więc przynosił stamtąd miarodajne informacje. Był mieszkańcami willi zachwycony, chwalił się, że często korzystają z jego usług, szczodrze za nie wynagradzając. Najczęściej obsługiwał sama pania „milionerkę", która miała chyba czterdziestkę i chętnie poddawała się zabiegom wprawnego mistrza Japuły.

Zniechęcił się do niego Frąckowiak po jednym z kawałów, jakie fryzjer przyniósł z willi.

— Panie Frąckowiak! — ćwierkał się czarny i mały Japuła. — Ten „milioner" to ma humor! Posłuchaj pan tylko! Wczoraj opowiedział mi taki kawał, że wszyscy śmiali się do rozpuku. Nawet ich służąca...

* * *

Nie, chyba nie poznał!

Gdy Frąckowiak w podgumowanym płaszczu szedł na ryby, to akurat stary Doleda śpieszył do kogoś w osiedlu. Spojrzał po ważniacku na Frąckowiaka, ale mu się nie ukłonił. A może poznał, czekając tylko na to, żeby buchalter ukłonił się pierwszy?

Nie, chyba po prostu nie poznał! Nie widziało się bowiem na twarzy właściciela willi żadnego zainteresowania dla mijanego rybaka. Twarz

miał po prostu skrzywioną, jakby pragnął dokładniej schować ją pod rondem kapelusza, gdyż mżyło, wilgoć była znowu zimna.

O jakiejś dziewiątej Frąckowiak wrócił znad jeziora. Ryby umieścił w wannie i natychmiast zajrzał do pokoju, w którym Anieszka uczyła się. Zajrzał z pośpiechem, gdyż chciał przekonać się o jej obecności. Odetchnął z ulgą. Już od dwóch wieczorów Agnieszka była w domu. Choć markotna i jakaś zaniedbana, ale grunt, że była! Naumyślnie od paru dni nie upominał jej, żeby przekonać się, czy nie uzna milczenia na drażliwy temat za rozluźnienie zakazu.

Widocznie, nie uznała! Zresztą, gdyby chciała, to zawsze znalazłaby pretekst: mogła wymyślić jakieś wieczorne laboratorium czy wkuwanie w bibliotece, aby tylko wymknąć się z domu. Wiedział przecież, że musi nieraz i wieczorami bywać na mieście, a w jakim celu, to w końcu, kto ją tam tak dokładnie mógłby skontrolować?

Przyszli sąsiedzi. Kolejarz i bankowiec, a po chwili jeszcze zjawił się także i Popławski, kierownik sklepu, który w osiedlu zaczął funkcjonować.

Najpierw, jak zwykle, ponarzekano trochę na deszcze. Nie za wiele, gdyż któryś z nich przypomniał, że majowe deszcze potrzebne są wsi, na co ze zrozumieniem zgodzono się. Tylko łysiejący Popławski żartobliwie sprzeciwił się:

— Ale po co ma lać w mieście?

— Czy my to miasto?

—To prawie miasto!

—Ja sądzę — zaczął Frąckowiak — że musimy tu gdzieś upatrzyć dla siebie ogródki działkowe. Przydadzą się i wtedy nie będziemy na deszcz narzekać.

— Ale przed tym, to warto zastanowić się nad tym, jakby zrobić wokół domów trochę więcej porządku! — przypomniał kolejarz.

— Niech przedsiębiorstwo budowlane troszczy się o to, kurza ich twarz! — oburzył się bankowiec.

Na to Frąckowiak, podsunął gościom paczkę z „giewontami":

— Oni nie zatroszczą się! Co, nie znacie ich zwyczajów?

— Znamy...

— A kto tu mieszka? My! Nowe domy, to i o ich otoczenie trzeba zadbać.

— Zwołać jakąś naradę, czy co? — zaczął zastanawiać się kolejarz. — Patrzcie, jak u tego „milionera" wszystko wypucowane! I prawie codziennie coś do mieszkania przywozi!

— Bo ma forsy jak lodu!

Rozmowa z łatwością skoncentrowała się wokół willi.

Bankowiec:

— Ja lubię wiedzieć, z czego kto co ma? I wtedy jestem już spokojny.

— Toż panu w banku musi to być wiadome!

— E, tam!

—No, od tego władza, żeby wiedziała, czy kto żyje z pracy czy z machlojek?!

— Władzy czasem mieni się w oczach od cudzych pięćsetek i wtedy dostaje jaglicy!

— Cholera jasna! — zaklął kolejarz. — Tak nie musi być. My tyramy i tyramy, a jak człowiek patrzy na wille, to jak na wypięty na nas wszystkich tylek!

— Sprawiedliwe słowa. Powiedziałbym nawet — wywodził bankowiec — że to ludzi pracy tylko demoralizuje. Gdy widzą, śpiesząc bez oddechu do tramwaju, jak ten rozbija się tym swoim Fordem Thunderbirdem...

— Toż i u was na parterze mieszka jeden taki, co ma samochód! — wtrącił kolejarz.

Frąckowiak:

— Rozeznania pan nie masz! To mały Fiat i kupiony na raty. A ten docent, to znany chirurg i gdyby tylko sobie popuścił, to też mógłby mieć taki rarytas, jak ten Ford Thunderbird i garaż dla niego obok własnej willi. Ale, jak widać, nie to mu w głowie!

Kolejarz:

— Może masz pan słuszność, ale z tym „milionerem" trzeba będzie coś zrobić! Może donieść na niego, że nigdzie nie jest zatrudniony? Mieszkańcy w osiedlach muszą jakoś dobierać się, żeby nie było zgorszenia!

Popławski:

— E, to tylko takie ładne gadanie!

Rozchodząc się, postanowiono zwołać szerszą naradę, aby kiedyś wreszcie coś zrobić dla uporządkowania terenu.

* * *

I znowu padało. Dla odmiany, deszcze były teraz ciepłe i przelotne.

Dwa razy pod rząd Agnieszka wróciła do domu dopiero po jedenastej. Doszło do awantury i od wczoraj Frąckowiakowie nie rozmawiali ze sobą, a raczej rozmawiała matka z córką, ale obie milkły, gdy tylko w ich pokoju zjawiał się „stary"...

Frąckowiak smętnie patrzy w okno, za którym zapowiada się pogodny, choć nieco

chmurny i podbity czerwienią, zachód. Kręci się po pokoju kobiet, ale kontaktu nie uzyskuje.

Nagle dał się słyszeć w pobliżu przeciągły sygnał samochodowy. Frąckowiak natychmiast wyjrzał przez okno, ale nigdzie nie było widać samochodu. Sygnał jednak powtórzył się po raz drugi. Przez ramiona Agnieszki, na które patrzy Frąckowiak, jakby coś przebiegło. Gdy sygnał powtórzył się jeszcze raz, Agnieszka przytuliła dłonie do uszu, co robiło wrażenie, iż jeszcze gorliwiej oddala się lekturze rozłożonego przed nią na stole skryptu.

Znowu odezwał się sygnał, ale nagle urwał, jak ktoś, komu gwałtownie przerwano w środku słowa.

Potem rozszumiała się zupełnie nieoczekiwana, krótka, ale gwałtowna burza majowa z ostrymi uderzeniami piorunów zupełnie gdzieś w pobliżu, z deszczem prostopadłym o bujnych i gęstych kroplach.

Gdy burza ucichła, a pioruny gdzieś ledwie mruczały, deszcz zaczął padać leniwy, jakby z ociąganiem się dziurkujący ciemność ciepłą i wszędzie kudłatą.

* * *

Jeszcze przed wybuchem burzy Ford Thunderbird, który zrezygnował z trąbienia w pobliżu domu, gdzie mieszkała Agnieszka, kończąc je urwanym sygnałem zniechęcenia zapewne, podjechał przed ławeczki, na których siedzieli młodzi mieszkańcy osiedla.

Podjechał i zatrzymał się. Z otwartych drzwiczek wyjrzała jasna głowa Jerzego, który lubił, by go nazywano Jerrym.

— Serwus, młodzież! — zawołał w kierunku siedzących na ławeczkach. — Która z was, babki, chciałaby się przelecieć?

Wszyscy zwrócili się w stronę pytającego, a po chwili zaczęli ze świeżym zainteresowaniem rozglądać się po swoich twarzach.

— No! — naglił Jerry. — Taka okazja nie zawsze zdarza się!

Z ławeczki podniosła się wysoka dziewczyna w czarnej bluzce, obnażającej nieco spadziste, ale kragłe ramiona.

— Śmiało, Zośka! — zachęcał Jerry.

— Zośka, zostań! — zawołał jakiś chłopak.

Zośka odwróciła się od wozu i roześmiała się:

— A co, ślub z tobą brałam?

— Przy księżycu! W tamtych krzakach nad jeziorem! — zarechotano nad ławeczkami, nad którymi jeszcze tylko wyobraźnia mogła widzieć wysokie topole lub rozłożyste kasztany.

Zośka, wsiadając:

— Dzidzia, ty też chodź! Co szkodzi przejechać się?! Nawet nie wiadomo, czy nazwana Dzidzią zdecydowałaby się, gdyż Jerremu nie zależało widocznie na decyzji i drugiej dziewczyny. Motor zawarczał i wóz ruszył. Jeszcze tylko ów chłopak przez chwilę biegł za nimi a raczej za znajdującą się w jego obszernym wnętrzu Zośką, potem zniechęcony, z potrzeby jakiegoś gestu podciągając spodnie pod wypuszczoną na wierzch koszulą, wrócił na ławeczkę, wykrzykując:

— Chłopcy, trzeba będzie tego kozaka nauczyć rozumu!

* * *

Ledwie burza przeszła, Frąckowiak oświadczył, że pójdzie na ryby, gdyż w cieplej ciemności mogą dobrze chwytać. Wyjątkowo długo guzdrał się w kuchni, aż wreszcie zaopatrzył się w wędki, ubrał się w podgumowany płaszcz, przewiesił dużą torbę przez ramię i wyszedł, nie usłyszawszy od kobiet ani słowa.

Wrócił późno i bez węgorzy. Choć żona czekała na niego z kolacją, prawie jej nie tknął, szybko zgasił światło i ułożył się do snu.

* * *

Nazajutrz opowiadano w osiedlu o wydarzeniu, które mogło spowodować tragiczny w skutkach wypadek. Gdzieś podobno przed północą Jerry Doleda wracał z Zośką od Popławskiego z wypadu do miasta.

Niska nad dróżką, wiodącą z asfaltowej szosy do willi, na jakieś pięćdziesiąt metrów przed drucianym ogrodzeniem, gdzie po obu stronach sterczały młode wierzby, ktoś przeciągnął gruby drut. Na szczęście, Ford Thunderbird, jego młody kierowca i Zośka niczego, prócz lekkiego wstrząsu, nie doznali, gdyż sprzęgło — jak mówiono — było wyciśnięte i wóz jechał już tylko samym rozpędem.

CUKIER może być słodki

Amerykanin Jack Youngblood, były pilot i kurier Fidela Castro, po części idealista, a w pewnej mierze poszukiwacz przygód i pieniędzy, walczył po stronie rewolucji kubańskiej. Jego wspomnienia stanowią ciekawy przyczynek do historii wielomiesięcznych zmagań z dynastią znienawidzonego Batisty.

Youngblood był w samym gąszczu wydarzeń, uczestniczył w najbardziej tajemnych akcjach, opracowana więc przez nas jego relacja, pozwoli zapoznać się z wieloma nie znanymi dotąd faktami o „ruchu 26 lipca" jak oficjalnie już nazwano walkę patriotycznych, rewolucyjnych sił Kuby.

PIERWSZE SPOTKANIE I AKT OSKARŻENIA

Poprawiłem pas, sprawdziłem pistolet i wstąpiłem na schody. Zamiast drzwi miałem przed sobą gęstą zasłonę ze sznurów z nanizanymi ciężarkami.

Kilka minut trwało nim moje oczy przyzwyczaiły się do półmroku. Po lewej stronie stojak na karabiny — pusty. Na podłodze skrzynie od amunicji, także puste. Porozrzucane czapki, koszule, spodnie, sterty wełny drzewnej i papieru...

Nie tak wyobrażałem sobie rancho, mające służyć Fidelowi jako baza i poligon przed atakiem na wyspę.

Siedział przy stole w przeciwległym kącie, z głową wspartą na łokciu i pisał. Nosił niewypielęgnowaną brodę, ciemnozielony amerykański mundur z wieloma kieszeniami, na czarnych rozwichrzonych włosach czapkę z daszkiem. Pisał...

Postąpiłem krok naprzód i chrząknąłem.

Drgnął. Ręka podskoczyła do pistoletu.

— Buenas dias, senior Castro!

Podniósł się, z ręką nadal na pistolecie.

— Kto pan jest? Po co pan przyszedł?

— Jack Youngblood. Chciałem pracować dla pana.

Castro pozostawił pistolet w spokoju.

— Chce pan przystąpić do naszego ruchu?

— Pragnę robić z panem interesy...

Wzgardliwy uśmiech.

— Interesy... Nic tylko interesy... Wy jankesi nie znacie żadnych ideałów poza pieniędzmi...

— Samymi ideałami trudno zapełnić pusty żołądek...

Przyniósł dwie szklanki z szafy i nalał brandy.

— Pańskie zdrowie, senior!

Usiadł za stołem.

— Chwileczkę. Muszę skończyć akt oskarżenia. W sprawie seniora Mosfervera, zwanego „Tygrysem". Grabi, rabuje i morduje przy pomocy swojej prywatnej armii. Hańbi nasze kobiety. Spotka go kara jako jednego z pierwszych.

Dziwny człowiek — pomyślałem — siedzi na wygnaniu i zajmuje się sporządzaniem aktów oskarżenia przeciwko ludziom, którzy twardo trzymają się u władzy.

GORZKI CUKIER

Niewiele o nim wiedziałem. Tylko to, co podawały gazety. A wówczas, w październiku roku 1956 nie miały jeszcze zbyt dużo do przekazywania czytelnikom. Młody doktor praw Fidel Castro był nadal mało znanym człowiekiem. Przeciw czemu walczył?

Przeciw głodowi i trudnej do wyobrażenia sobie nędzy robotników plantacji trzciny cukrowej na Kubie. Przeciw bogatym monopolom amerykańskim, które eksploatowały Kubańczyków. Przeciw skorumpowanemu rządowi dyktatora Batisty, który odbierał ubogim ostatnie mienie i nie dawał narodowi ani szkół, ani szpitali, przeciw rządowi morderców i bandytów z których jeden był gorszy od drugiego.

Kuba znaczyła dla niego: gorzki cukier.

26 lipca 1953 r. Castro wraz z grupą studentów zaatakował koszary. Bez powodzenia. Większość napastników zginęła, Fidel i jego brat Raul zostali aresztowani i umieszczeni w obozie koncentracyjnym na wyspie Pinas. Wielkiemu szczęściu zawdzięczali zwolnienie po 18 miesiącach. Wygnano ich do Meksyku. Tu znów zgrupowali wokół siebie grupę partyzantów, pragnących wyzwolić Kubę spod jarzma znienawidzonego dyktatora...

Castro złożył starannie akt oskarżenia, włożył w kopertę i zapieczętował ją.

— Powracamy do pańskiej sprawy. Co pan może dla nas zrobić?

— Jestem dobrym pilotem. Potrzebujecie takich?..

— Myślę, że tak. Kupiliśmy wczoraj pierwszy samolot, DC-3. Potrafi pan pilotować tę maszynę?

— Znam wszystkie...

— Muy bien. Jaka zapłata?

— Sto dolarów za godzinę w Meksyku. Poza granicami więcej.

— Nie jest pan tani.

— Inni płacą więcej.

— Dlaczego przyszedł więc pan do nas?

— Chętnie zarabiam pieniądze. Ale wolę pracować dla ludzi którym życzę zwycięstwa.

— Więc dobrze.

RYZYKO AKCJI: POWYŻEJ 2 LAT WIĘZIENIA

Po kilku minutach zapoznałem się z niedźwiedziowatym człowiekiem Fidela, który został mi przedstawiony jako Camilo Cienfuegos — najmilszy brodacz komendanta. Podarowałem mu swój kowbojski kapelusz, o który mnie nagabnął i odrazu staliśmy się przyjaciółmi. Ale Castro nie pozwolił na tracenie czasu na głupstwa.

— Potrzebujemy broni i amunicji, zbliża się rozstrzygająca walka.

— Co potrzebujecie konkretnie?

— Wszystko: karabiny, pistolety, granatniki. Musimy wygrać wojnę.

— To kosztuje dużo pieniędzy.

—Znajdą się..

— Znam pewne źródła w Filadelfii.

— Wyśmienicie. Trzeba więc polecieć i przywieźć co się tylko da...

— Nielegalnie?

— Oczywiście. Rząd amerykański nie udzieli nam przecież licencji na wywóz broni dla naszych celów.

Nielegalny lot do Stanów i z powrotem. Z załadunkiem broni na pokładzie. Gdybym został złapany, nie wymigałbym się mniejszą karą niż dwa lata więzienia. A młodzieńcy z FBI nieźle pracowali na swoje pensje...

LATAJĄCA TRUMNA

DC-3 już zdaleka nie wyglądała na maszynę godną zaufania. Z bliska można ją było ocenić jedynie jako latającą trumnę. Kadłub miała łatany w stu miejscach, przewody hydrauliczne przeciekały, opony pościerane.

— Świetna, co? — cieszył się Camilo, a Castro stanął w otwartych drzwiach kabiny, dumny ze swego „nowego" samolotu, ze swojej „eskadry", ze swego „lotnictwa"...

Wewnątrz uderzył mnie w nozdrza dziwny zapach. No tak, dawny właściciel musiał używać poczciwą DC-3 do przewozu kóz, świadczyła o tym podłoga usłana charakterystycznymi śladami...

— Zaraz odbędziemy próbny lot — powiedział Castro.

Obejrzałem wyposażenie. Byłem bliski płaczu.

— A gdzie jest książka pokładowa?

— Książka pokładowa? Co to takiego?

— Każdy samolot musi ją posiadać. W przeciwnym wypadku loty są bezprawne.

— Senior, chcę panu powiedzieć, że wszystkie loty tą maszyną będą bezprawne.

GABINET

Na szczęście motory były w porządku.

— Możemy lecieć!

— Muy bien. Poproszę kilku członków gabinetu.

Nie potrzebowaliśmy długo czekać. Przybyli w trójkę. Pierwszy: młodzieniec z cienkim wąsikiem i mleczną cerą.

— Raul — przedstawił go Castro. — Mój mały braciszek...

Drugi z przybyłych był zupełnym przeciwieństwem brata el comandante — około sześćdziesiątki, w mundurze, z pooraną przeżyciami twarzą i czarną opaską zakrywającą prawe oko.

Fidel Castro prowadził kubańskich patriotów do walki o wyzwolenie pięknej wyspy.

— Pułkownik Bayo. Stracił oko w walce z hiszpańskim dyktatorem Franco. Teraz szkoli moich barbudos.

Trzeci wreszcie: wysoki, silny, z baskijskim beretem na głowie i pistoletem maszynowym na ramieniu.

— Doktor Ernesto Guevara, zwany El Che — powiedział Castro. — Nasz fachowiec od spraw gospodarczych...

Przyjrzałem mu się dokładniej. Więc to był ten argentyński lekarz, oceniony jako jeden z najmądrzejszych i najodważniejszych ludzi Ameryki Łacińskiej. Nie widziałem go nigdy przedtem, ale nasze drogi kiedyś już się skrzyżowały...

— Vamos! — zawołał Castro. — Startujemy...

Jakoś poszło. Tylko po czterech godzinach lotu, już przy lądowaniu, zablokowały

Dalszy ciąg na str. 10

Helina Pawłowicz (Kitty) i Zbigniew Koczanowicz (Szatan).
Foto: — G. PUCIATO

EWA SULIBORSKA

„NAWRÓCONY DIABEŁ"

Letnie upały nie sprzyjają teatrowi. W czasie kanikuły gra się znów byle co i — niestety — byle jak. Znów, bo nie tak dawno przecież, można było oglądać w lipcu nawet Szekspira czy Moliera. Mimo wszystko, były to nienajgorsze lata. Nastawieni na atrakcyjność i lekkość repertuaru zbyt często bowiem zapominamy o wartości wystawianych sztuk. Być może, Miklos Gyàrfàs należy do „najbardziej utalentowanych młodych pisarzy węgierskich", tak przynajmniej zapewniają autorzy programu, być może, sztuki jego cenione są w Budapeszcie i w Pradze. Trudno jednak, oglądając „Nawróconego diabła", odpowiedzieć sobie na pytanie, po co podjęto trud realizacji scenicznej komedii, której wartości są tak problematyczne. Po co sięgnięto aż do dramaturgii węgierskiej, skoro można by z równym powodzeniem grać — nie wiem, czy nie ambitniejsze — komedie Winawera czy Krzywoszewskiego?

Historyjką o diable, który się nawrócił i chciał czynić ludziom dobrze, posłużył się Gyàrfàs po to, by — nadając w ten sposób wartość komedii — powiedzieć także parę prawd o życiu i ludziach. Są to, niestety, prawdy w rodzaju „ludzie są obłudni, a więc, by żyć między nimi, trzeba być obłudnym" albo „najlepiej być przeciętnym, nikomu się wtedy nie narażasz". Prawdy żałosne tym bardziej, że końcowy, „mocny akord" komedii poprzedzony jest wątpliwej wartości pikanterią i dowcipem na temat „tych rzeczy".

Bulwarowy charakter sztuki podkreślił scenograf Zdzisław Topolski i reżyser Jerzy Walden, który zręcznie wypunktował dowcipy z pieprzykiem i co pikantniejsze momenty akcji. Cuda pirotechniki, demonstrowane przez Zbigniewa Koczanowicza (Szatan) posiadają też ten bulwarowy — i skądinąd dość sympatyczny — smaczek sprzed pół wieku. Jeśli, mimo wszystko, warto zobaczyć to przedstawienie, to dla Antoniego Żukowskiego. Inteligentnie parodiując swego Generała, śpiewa on dowcipnie i z wdziękiem kuplecik o dziewczynie, co uczy miłości. Ta rola jest tym bardziej godna odnotowania, że Żukowski — którego pamiętamy ze świetnej kreacji w „Widoku z mostu" Millera — zaprezentował się tu jako mocny aktor komediowy. Na uwagę zasługują też Aleksander Fogiel (Proboszcz) i suknie Marii Wachowiak (Jutka).

Teatr Powszechny, wystawiając „Wesołe miasteczko", wyrobił sobie u widzów znaczny kredyt. Po wodewilu Marianowicza i Minkiewicza decyzja wystawienia „Nawróconego diabła" nie może więc zaskakiwać. Okazało się przecież, że robota naszych satyryków — i to robota nie najlepsza — jest jeszcze znacznie bardziej godna uwagi od tego, co mogą nam dziś zaproponować Węgrzy (czy Czesi?). Może więc — zamiast sięgać po owego „Nawróconego diabła" — warto byłoraczej zaprosić do współpracy jakąś inną parę rodzimych komediopisarzy?

Nasz specjalny wysłannik donosi:

POTWORNY WYPADEK w SAMOKLĘSKACH
ŚMIERĆ POETY

W ubiegłą sobotę we wsi Samokląski Duże miał miejsce wstrząsający wypadek. Przebywający tam na weekendzie dwaj poeci — młodego i starszego pokolenia w czasie przechadzki zostali w szczerym polu zaskoczeni przez burzę z piorunami. Jeden z licznych piorunów, którego lot — jak opowiadają naoczni świadkowie tego strasznego wypadku skierowany na poetę starszego pokolenia, wyraźnie zakręcił i ugodził w idącego obok młodego literata zabijając go na miejscu.

Dobrze poinformowani twierdzą, że jest to wyraźna interwencja czynników nadprzyrodzonych. Młody poeta bowiem pisał wiersze nierymowane i był znany z negatywnego stosunku do Związku Literatów Polskich.

Poniżej zamieszczamy wiersz cudem, ale jakże słusznie, uratowanego poety starszego pokolenia.

LATO

Przeszła wreszcie brzydka zima,
Śniegu nie ma, piwa nie ma.

Mały Jasio nóżką tupie,
Słońce igra mu na rymie.

Rtęć zakwitła w termometrze,
Malorolny idzie drogą.

Tatusia suszy na wietrze.
Kłosy chylą się jak mogą...

Kwiatki rosną w różne strony:
Bratki, chabry i peonie.

Listek się na drzewie kiwa...
Zewsząd cisza i szczęśliwość.

A w szczęśliwość tą wtulony
Wiersz napisał wieszcz natchniony.

WIEŚCI KRÓTKIE I STRASZLIWE

LATAJĄCE TALERZE W KUTNIE

Onegdaj pan Tadeusz Zamaszysty, z przekonania kutnowianin, wracając późno do domu ujrzał dwa do trzech latających talerzy. Niezwykłe pojazdy były zaparkowane przed barem „Syrena". Ponieważ sposób zaparkowania nie odpowiadał wymaganiom przepisów Komendy Ruchu, pan Zamaszysty postanowił wezwać MO. Niestety. Po przybyciu patrolu okazało się, że latające talerze zniknęły. Natychmiast wszczęto śledztwo, istnieje bowiem przypuszczenie, że talerze zostały użyte przez turystów w celach gastronomicznych.

KRZYWDZĄ INTELIGENTA

Wczoraj w godzinach rannych Anastazy P. inteligent pracujący począł się nagle intensywnie pocić. Ulubioną sjestę Anastazego przerwały jednak brutalne okrzyki sąsiadów, którym jakoby miało przeciekać przez sufit.

KAPITAN GUL-GULTIER ZNÓW NA WIDOWNI

Onegdaj znów dał znać o sobie straszliwy kapitan Gul-Gultier. Ruch w centrum miasta został sparaliżowany — kapitan stał na jezdni brocząc pianą i grzmiąc tradycyjnie, a straszliwie — Gul-Gul-Gul. Jak się okazało, przyczyną wyjścia z ukrycia od dawna poszukiwanego kapitana była nadmierna ilość piwa spożyta w okolicznej pijalni.

ODKRYCIE LOCHÓW WATYKANU

W ostatnich dniach maja, w pobliżu Watykanu dokonano sensacyjnego odkrycia lochów. Przybyła na miejsce komisja ekspertów stwierdziła jednomyślnie, że autorem tychże jest powszechnie znany pisarz Andre Gide. W związku z powyższym przystąpiono do natychmiastowego zakrywania lochów.

KONRAD FREJDLICH GROZI PROCESEM

Wczoraj w godzinach popołudniowych w czasie toczącej się w Klubie Dziennikarza dyskusji o młodej poezji Konrad Frejdlich pogroził swemu adwersarzowi oprawnym w skórę „procesem" Franza Kafki.

Złote myśli o lecie

Jak leci?
(Popularne)

Więcej lata.
(Goethe)

Lato, ty jesteś jak zdrowie!
(Mickiewicz)

Wszędzie dobrze, ale w lecie najlępiej.
(Prawdziwe)

Nie deptać trawników.
(Rada Narodowa)

Jak się topić?
PORADNIK dla TOPIELCA - AMATORA

Znany psycholog europejski dr Wydmuszka stwierdził autorytatywnie, że przyczyną samobójczej manii topielców jest nie tyle chęć utopienia, ile pragnienie zdobycia sławy i rozgłosu. Przychodzimy z pomocą amatorom tego rodzaju wyczynów i podajemy kilka nieszkodliwych sposobów zabłysnięcia w tej dziedzinie.

TOPIENIE FIGLARNE

Z odpowiednio głośnym krzykiem skaczemy do wody i wychodzimy w zupełnie innym miejscu. Cichaczem zachodzimy od tyłu zgromadzonych i poszukujących topielca pytając z niewinną miną: „Państwo czegoś szukają? Może pomóc?" Efekt piorunujący.

TOPIENIE EFEKTOWNE

Wdziewamy kompletny strój podróżnika (pumpy, laska i melonik), dla większego efektu bierzemy kilka walizek, wybieramy odpowiednio nasłonecznioną i zaludnioną plażę, po czym z werwą właściwą podróżnym wchodzimy do wody. Na wszelkie indagacje odpowiadamy: „Prosto i na prawo? Dziękuję bardzo". Efekt murowany.

TOPIENIE Z PREMEDYTACJĄ

Wchodząc na plażę w świątecznym garniturze powtarzamy głośno: „Idiotka! będzie się miała z pyszna!". Zaczynamy powoli się rozbierać starannie składając ubranie. Na wszelkie prośby i namowy tłumu odpowiadamy stanowczo: „Proszę państwa, ja wiem co robię". Dla większego efektu możemy wrócić z topieli, aby skreślić kilka słów do najbliższej. Następnie wprawnymi ruchami przepływamy kilkadziesiąt metrów w wodzie, po czym wychodzimy

na brzeg. Zaskoczenie, zdumienie, powodzenie murowane.

TOPIENIE TRADYCYJNE

Jest to najstarszy i najczęściej stosowany sposób. Wyjeżdżamy na wodę łódka mając przywiązany do szyi odpowiednio ciężki kamień (kamień jest niezbędny ze względu na szacunek dla tradycji). W pewnym momencie nieznacznie wyrzucamy kamień za burtę, podążając w ślad za nim (należy uważać, aby nie pomylić kolejności). Sposób ten ma jednak zasadniczą wadę. Zmiana decyzji nastręcza bowiem wiele trudności.

TAJEMNICA JEZIORA LOCH NESS

(Artykulik napisany specjalnie dla naszych Czytelników)

Szanowni Czytelnicy! Co nauka wie o potworze z jeziora Loch Ness? Z całą pewnością możemy stwierdzić, że nie jest to wąż morski, lecz wąż jeziorski. Reszta wiadomości opiera się niestety tylko na hipotezach. Oto najprawdopodobniejsze z nich.

Według miss Alison wąż jest sympatycznym blondynem o ciepłym spojrzeniu i skłonnościach do trunków. Z przyczyn zrozumiałych trudno jest określić jego wiek na podstawie zębów. Według turystów z Chicago wąż chodzi gęsiego. Na co dzień zajmuje się zbieraniem i lekturą artykułów o sobie, co napawa go smutkiem i nastraja głęboko refleksyjnie. Z natury bardzo spokojny, denerwuje się jedynie wtedy, gdy czyta, że wykluł się z jaja zamrożonego w okresie lodowcowym, a odgrzanego sympatią okolicznych hotelarzy. W rzeczywistości bowiem jest tylko zdegenerowaną szprotką.

Reasumując — nie mamy pewności czy istnieje, ale wiemy na pewno, że jego ulubioną potrawą są ogórki.

Profesor Robert W. Brown

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244 79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 1940 VII. L-4

TELEwizja

Mało kto wie, że mamy w Łodzi

Pogotowie Telewizyjne

NA TEMAT NAPRAW TELEWIZORÓW

rozmawiamy z inż. Jerzym Kupisem z ZURiT

Panie inżynierze, co się dzieje? Od pewnego czasu przestaliśmy otrzymywać listy z zażaleniami na działalność waszych placówek usługowych! Czyżby poprawiła się tak znacznie jakość sprzedawanych u nas telewizorów, czy może ludzie przestali korzystać z tego „domowego kina"?

—Ani jedno, ani drugie. Jakość telewizorów utrzymuje się na stałym poziomie, telewidzowie po staremu patrzą w ekran, tylko my, to znaczy ZURiT przeorganizowaliśmy się wewnętrznie i że tak powiem wyszliśmy naprzeciw klientowi.

— Na czym to polega?

— Uruchomiliśmy ostatnio dwie Bazy Napraw Domowych, które w zasadzie przyjmują zgłoszenia na usuwanie usterek w domu użytkownika choć nie odmawia się pomocy kiedy posiadacz odbiornika przywiezie go do nas do bazy. Placówki te mieszczą się przy ul. Zachodniej 107 i Piotrkowskiej 109 dla północnej i południowej dzielnicy miasta. Czynne są w godzinach od 9 do 21, a więc przez pełne dwanaście godzin.

— A zatem coś w rodzaju pogotowia telewizyjnego...

— Oczywiście. Tymbardziej, że ekipy monterskie posiadają samochody którymi udają się na miejsce awarii, usuwając ją bądź w mieszkaniu, bądź też przewożą ciężki odbiornik do naszego warsztatu. Od pogotowia ratunkowego różnimy się jednak tym, że od chwili wezwania do momentu przybycia ekipy upływa dwa, trzy dni. Za to poważniejsze naprawy w warsztatach wykonujemy w terminie dni pięciu.

— O, to jeszcze długo...

— Ma pan rację. Jeśli się panu spieszy polecam naprawę ekspressową w terminie 24 godzin.

— Co się dzieje, panie inżynierze?!

— Ano tak, wprowadziliśmy ostatnio i te innowacje w usługach. Naprawy ekspressowe dokonywane są przez wszystkie nasze placówki. Kosztuje to oczywiście nieco — bo 50 procent drożej.

— Mam pytanie. Czy to co pan mówił dotyczy zarówno napraw gwarancyjnych i pozagwarancyjnych?

— Tak jest. Z tym, że za naprawy ekspressowe w ramach gwarancji klient dopłaca sumę wynoszącą połowę kosztów robocizny. Podkreślam robocizny, nie zaś np. części, które należało wymienić.

— Jak wygląda zatem procedura załatwiania sprawy. Powiedzmy dziś zepsuł mi się telewizor...

— Chwileczkę. Dziś rano, czy dziś wieczorem? Rejonowe punkty usługowe przyjmują zgłoszenia od 9 do godziny 17, od 17 do 21 może pan telefonicznie bądź osobiście zgłaszać się do wymienionych Baz Napraw Domowych.

— Ile kosztuje taka nieduża normalna, powiedzmy średnia naprawa?

— Różnie. Średnio od 80 do 100 zł, czasem taniej, czasem o wiele drożej, czasem, jeśli w ramach gwarancji — nic, nawet gdy w grę wchodzi przewóz telewizora do warsztatu i odwiezienie go do domu. Poza gwarancją ta ostatnia usługa kosztuje 35 zł.

— Panie inżynierze, teraz z innej beczki. Prasa warszawska doniosła ostatnio, a gazety łódzkie powtórzyły za agencjami wiadomość o ukazaniu się w sprzedaży telewizorów marki „Wawel". Pan pamięta, że były to odbiorniki które początkowo nie zdały egzaminu jakości, że mimo wyprodukowania w końcu ubiegłego roku dużej partii tego typu aparatów wycofano je ze sprzedaży po ujawnieniu wielu dość istotnych wad. Teraz „Wawel" — pisała prasa — przeszedł dość istotną kurację techniczną i po przejściu trudnego egzaminu eksploatacyjnego ponownie skierowano aparaty do sprzedaży. Podobno aparaty tego typu mają być instalowne w mieszkaniach przez fachowców i ZURiT, a opiekę nad ich eksploatacją mają objąć fachowcy z Warszawskiej Fabryki Telewizorów. Będą one miały roczną gwarancję, a cena wynosi 11.500 przy ekranie 21 calowym... Jak wygląda ta sprawa w Łodzi. Kiedy nadejdą „Wawele"?

— Jeszcze nie dostaliśmy na ten temat żadnej wiadomości oficjalnej. Wiemy jedynie o tym z prasy. Przypuszczać należy, że pierwsze partie „Waweli" nadejdą do Łodzi w lipcu. Oczywiście nad ich instalowaniem i eksploatacją będziemy czuwać.

— I ostatnie pytanie na dziś. Czy zamierzacie uruchomić jakieś nowe punkty napraw telewizorów?

— Na jesieni oddamy nowy punkt napraw w bloku na rogu Alei Politechniki i ulicy Obywatelskej.

(X)

Primabalerina „Ballet Russe de Monte Carlo" Polka Nina Nowak, którą oglądaliśmy nie tak dawno w obszernej sekwencji filmowej cotygodniowego magazynu teelwizyjnego — 6 lipca występuje w Łodzi.

PROGRAM *na najbliższe dni*

CZWARTEK, 6 LIPCA

17.55 Program dnia (Ł. lok.). 18.00 „Książki czekają na Ciebie" (W). 18.30 Program artystyczno-publicystyczny dla młodzieży pt. „Pieśń o Mazurach" (Olsztyn). 19.00 Polska Kronika Filmowa (W). 19.10 Program publicystyczny (Ł. lok.): „Rewelacja". 19.30 Dziennik Telewizyjny (W). 20.00 „Nie tylko dla pań" — magazyn (W). 20.35 Teatr „Kobra" — widow. sensacyjne wg. Edgara Wallace'a pt. „Gabinet nr 13". (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 7 LIPCA

18.35 Program dnia (Ł. lok.). 18.40 „Łódzki przegląd sportowy" (Ł. lok.). 18.55 Wszechnica Telewizyjna: program pt. „Muzeum aptekarskie" (Kraków). 19.30 Dziennik Telewizyjny (W). 20.00 „Wszystkie Dni Tygodnia" (Ł. lok.). 20.35 „Cyrograf" sztuka Barbary Witek-Świnarskiej. Transmisja z Teatru „Ateneum" w Warszawie (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 8 LIPCA

17.55 Program dnia (Ł. lok.). 18.00 „Królewna ze złotą gwiazdką" — film fabularny prod. CSRS, dozw. od lat 12 (czytany) (W). 19.15 „Paragraf i fajka" (W). 19.30 Dziennik Telewizyjny (W). 20.00 Magazyn kulturalny „Pegaz" w oprac. Grzegorza Lasoty (W). 20.30 „Rozmowy o programie" (Ł. lok.). 20.50 PKF (W). 21.00 Program rozrywkowy z Rostocku (Rostock przez Katowice). 22.45 Ostatnie wiadomości (W).

NIEDZIELA, 9 LIPCA

10.00 „Obóz pionierski" (program dla dzieci i młodzieży). Transmisja z Budapesztu przez Katowice. 12.00 Przerwa. 14.15 Niedzielna Biesiada (Olsztyn). 15.15 Polska Kronika Filmowa (W). 15.25 „Kronika Filmowa Ziemi Łódzkiej" (Ł. lok.). 15.45 Muzyka dla Ciebie (P). 16.25 „Pumy" film z serii „Disneyland" (W). 17.15 „Parada klamców" — teleturniej (W). 18.15 Sprawozdanie sportowe. 20.15 Dziennik Telewizyjny (W). 21.00 „Mężczyzna w krótkich spodenkach" film fabularny prod. włoskiej, dozw. od lat 12 (W). 22.50 Wiadomości sportowe (W).

SPRAWY BIEŻĄCE

Telewizja zaklina się oczywiście na potęgę, że co jak co, ale tak zwanych ogórków to w tegorocznym letnim programie nie będzie. Ograniczy się co prawda poważnie program dziecięcy, ograniczy się cośkolwiek pozycje Teatru Telewizji, ale za to filmów naoglądamy się w lipcu do wyboru i do koloru. Będą filmy stare i nowe, czytane i z napisami, zakupione tylko dla telewizji i nie tylko dla telewizji.

Nawet mieliśmy wcale zbożny przykład tej filmowej aktywności w ostatnią niedzielę — pokazano nam kolorowy film angielski „Złodziej z Bagdadu", który na małym ekranie stracił cały urok i połowę sensu, przy czym z godną podziwu logiką tę najbardziej baśniową baśń zakwalifikowano jako film „od lat szesnastu" i wyświetlono o godz. 21.20. Jedno co się naprawdę mogło podobać, to przezorność — jako że wiadomo powszechnie, iż napisy na kolorowej kopii zacierają się w telewizji, film był jednocześnie czytany, zmniejsza już z tym, że lektor niekoniecznie pozostawał w zgodzi z autorem napisów.

Podobnej przezorności nie zauważyliśmy już jednak przy transmisji meczu Górnik Zabrze — Dynamo Berlin; mimo że błagania o białą piłkę na meczach piłkarskich powtarzają się na łamach prasy z dość dużą regularnością, piłka była jak najbardziej normalna, co utrudniało pracę nawet samym operatorom — trzeba było widzieć kamery błąkające się po boisku w poszukiwaniu piłeczki i pokazujące odległych od pola walki graczy pogrążonych w rozmyślaniach nad ciężkim życiem piłkarza.

Odnotowując drobne niechlujstwo, możemy przy okazji odnotować i coś pozytywnego — prowadzący transmisję stary rep Dobrowolski odstąpił coś na dwadzieścia (nudnych wprawdzie) minut mikrofon jednemu z młodszych kolegów — żeby miał się okazję przyuczać.

W ten sposób może się jeszcze okazać, że jeden z najbardziej złowróżbnych telewizyjnych proroków — Tadeusz Domaniewski z „Przeglądu Kulturalnego" — nie będzie miał koniec końców racji; obwieścił on ostatnio, że konkurs na sprawozdawcę radiowo - telewizyjnego wygrał Andrzej Koziorowski i zaproponował obliczenie po pół roku, ile razy p. Andrzej będzie sprawozdawał... Proponujemy i naszym czytelnikom włączenie się do tych statystycznych zmagań — mamy nadzieję, że jednak laureat będzie miał okazję do zademonstrowania swoich umiejętności.

W ogóle w telewizji pojawia się trochę nowych twarzy i nowych nazwisk. Mogę na przykład zdradzić w wielkiej tajemnicy, że z połową lipca będziemy mieli w studio łódzkim debiut reżyserski i to w programie ogólnopolskim; młody reżyser przygotowujący czterdziestominutową komedię dostaje do dyspozycji całą czołówkę aktorów łódzkich i będzie miał okazję pokazać co potrafi. Jak zwykle w okolicach studia panuje łagodne podniecenie na temat „co też z tego wyniknie", ale my — optymiści niepoprawni — i tym razem jesteśmy dobrej myśli.

J. P.

ZAKŁADY MŁ w WARSZAWIE PRODUKUJĄ NADAJNIKI TV

Warszawskie Zakłady Ministerstwa Łączności podjęły ostatnio produkcję nadajników telewizyjnych. Pierwszy z nich niedługo już rozpocznie pracę w Zgorzelcu, a jego zasięg nadawania wynosi 20 km. Drugi nadajnik o mocy 10 kW i promieniu nadawania około 80 kilometrów zainstalowany będzie w Lublinie. Prawdopodobnie jeszcze przed 22 lipca oddana zostanie do użytku nowa linia łączy ultrakrótkofalowych między Poznaniem a Szczecinem, dzięki której program ogólnopolski docierać będzie na Pomorze Zachodnie do Szczecina pracującego dotąd bez połączenia z innymi telestacjami. Planuje się też wzmocnienie w bieżącym roku stacji telewizyjnych w Bydgoszczy, gdzie zasięg odbioru wzrośnie do 70 km i w Gdańsku do ponad 80 km.

W przyszłym roku stacje telewizyjne uruchomione zostaną w Zielonej Górze, Rzeszowie i Krakowie. Plany Ministerstwa Łączności przewidują, że w roku 1961 około 90 procent ludności ludności zamieszkałej na 82 proc. powierzchni kraju znajdzie się w zasięgu telewizji.

CUKIER może być słodki

Dalszy ciąg ze str. 8

się hamulce. Piątką rewolucjonistów przekoziołkowała z tyłu na przód, później odwrotnie. Po wyjściu z kabiny Fidel wydał rozkaz, że żadnemu z członków kierownictwa nie wolno aż do odwołania podróżować latającym nabytkiem.

ZA RADAROWYM PARASOLEM

Następnego dnia wsiadłem do samolotu i skierowałem go na kurs północno-wschodni. Towarzyszył mi Ramos, zaopatrzony w pieniądze na zakup broni. Po kilku godzinach zbliżyliśmy się do granicy Texasu. Niech nas teraz wyłowi oko sieci radarowej, a będziemy mogli kilka lat przeżyć na państwowym wikcie. Nacisnąłem ster lekko do przodu. Zaczęliśmy opadać. Tysiąc metrów... 500... 300... 200...

— Uważaj na statki! — zawołałem do Ramosa.

Jeszcze niżej.

Musieliśmy przemknąć pod parasolem radarowym, który otacza całe Stany niczym niewidzialny, naładowany elektrycznością płot.

80 metrów... 50... 30...

W świetle księżyca wydawało się, że możemy ręką dotknąć spienionych fal. Wystarczyło nieopatrzne drgnięcie ręki, aby popełnić samobójstwo w morzu. Najjaśniejszy pasek: wybrzeże...

Po dziesięciu minutach zamajaczyło przed nami białe światełko na dachu samotnej fermy.

— Nabierzemy benzyny u Jeda.

— Kto to jest Jed?

— Przyjaciel. Ma starą Cesnę 170, z którą robi wypady na kujoty. Usiłuje unieszkodliwić bestie w locie czubkiem skrzydeł. W pozostałym okresie maszyna jest świetnym usprawiedliwieniem zakupów dużych ilości benzyny. Dlatego może zaopatrywać takich ludzi jak my, którzy nielegalnie skaczą do Stanów i nie lubią odpowiadać na pytania...

Jed był uradowany. Zwłaszcza gdy mu oświadczyłem, że w powrotnej drodze znów wstąpimy napełnić zbiorniki. Narzekał, że ostatnio interesy popsuły się zupełnie.

Pomyślałem, że wkrótce na pewno się poprawią. Ale nie powiedziałem mu tego.

Wzięliśmy kurs na Filadelfię.

BROŃ Z LODÓWKI

Black Albert siedział z nogami na porysowanym biurku, z cygarem między zębami i dymiącą filiżanką kawy w ręku. Na nasz widok omal nie upuścił parzącego płynu.

— Jack, jakie wiatry cię tu przywiały?...

— Przyprowadziłem ci interesanta, Senior Ramos.

Wyjaśniłem o co chodzi. Black wyciągnął z zakamarków skrawek papieru. Cennik.

— Przykro mi, ale ceny ostatnio podskoczyły. FBI nie lubi niektórych kupców...

Ramos przejrzał listę i podyktował zamówienie.

— 89.000 dolarów, senior — oświadczył nasz rozmówca.

— Chcemy obejrzeć towar.

Na krańcu przeraźliwie długiego podwórka, za wielkimi stosami wraków samochodowych, którymi Black podobno handlował, stał wagon-chłodnia ze zdemontowanymi kołami. Gospodarz uniósł skobel i z trudem odepchnął pordzewiałe drzwi. Wnętrze wypełnione było skrzyniami. Black odbił wieko jednej z nich. Kubańczyk przez godzinę dokonywał przeglądu, widać było że zna się na broni, a następnie wręczył zaliczkę.

Umówiliśmy się na małym podmiejskim lotnisku i dalsze 3 tysiące dolarów zmieniły właściciela, z przeznaczenia na koszty załadunku i łapówek.

TERESA ARESZTOWANA

Fidel Castro przycisnął mnie do piersi.

— Mam dla pana więcej pracy!

— Jestem zmęczony! Śmiertelnie zmęczony...

Z ulgą powitałem łóżko, a z niechęcią następnego ranka zaproszenie na rancho.

— Co zrobiliście z bronią? — zapytałem po drodze Ramosa.

— Fidel jest mądrym commandante. Nie magazynuje wszystkich zapasów w Santa Rosa. Tę porcję przewieźliśmy do Mexico City, do willi Teresy Caruso.

— Co? Przecież to sekretarka ambasady Batisty w Meksyku...

— Nie szkodzi. Wielu ludzi pracuje dla słusznej sprawy...

Byłbym kłamcą, gdybym stwierdził, że takie przyjęcie jakie zgotowano mi tego dnia na rancho pozbawione było południowo-amerykańskiego temperamentu. W kulminacyjnym punkcie zabawy z piskiem hamulców zatrzymał się przed domem samochód, wyskoczył z niego młody człowiek, z twarzą pełną strachu...

— Gdzie jest el comandante?

— Co się stało?

— Broń... Broń...

— Gdzie broń?

— Zginęła. Policja meksykańska skonfiskowała.

— A Teresa?

— Aresztowana.

Camilo był wściekły: — Taki cios na dwa dni przed inwazją... Czułem jeszcze w kościach trudy wyprawy. Cały wysiłek poszedł na marne.

Jeden Castro pozostał spokojny.

Opracował: Ab.

ZA TYDZIEŃ:

⊙ INWAZJA 82 ⊙ SIM WYRYWA PAZNOKCIE ⊙ BAZOOKA ZNACZY DWA PŁOMIENIE ⊙ JUAN MILCZY DO KOŃCA ⊙ CZEGO UCZY PUŁKOWNIK BAYO ⊙ 3 STEKI I OSIEM PISTOLETÓW = 1.221 PESO.

STRESZCZENIE

Wybitny matematyk, profesor Rauch zostaje schwytany przez zbrodniarzy wojennych, Kraftstudta i spółkę, którzy zorganizowali ośrodek zatrudniający ludzi o wyraźnych zdolnościach matematycznych. W oczach świata profesor Rauch uchodzi za zmarłego (w wypadku samochodowym); jego zdjęcie w żałobnych ramkach umieściły gazety. Zbrodniarze proponują profesorowi współpracę. Prof. Rauch odmawia, w następstwie czego zostaje poddany badaniom które mają określić „jaki jest kod sygnałów dla ustroju nerwowego profesora"

„Zaczyna się — pomyślał profesor Rauch — żeby tylko wytrzymać..."

Przy częstotliwości ośmiu herców zechce mi się spać. Czyżby moja wola nie potrafiła sprzeciwić się temu? Czyżby nie udało mi się wyprowadzić w pole tych „uczonych" w pierwszym punkcie ich „spektrum"? Częstotliwość wzrastała powoli. Liczyłem ilość przypływów i odpływów ciepła na sekundę u siebie. Oto już jeden na sekundę, dwa, trzy, cztery, więcej, jeszcze więcej. Zaczęła opanowywać mnie senność, ale zacisnąłem zęby, żeby nie usnąć. Ręce i nogi ciążyły mi, powieki same opadały. Zdawało się, jeszcze chwila i upadnę. Przygryzłem język mocno, aż do bólu, żeby w ten sposób odegnać uczucie senności. W tej samej chwili usłyszałem czyjś głos, jakby dolatujący skądś zdaleka.

— Rauch, jak się pan czuje?

— Dziękuję, dobrze. Trochę mi zimno — skłamałem. Głos mój wydał się mnie samemu jakiś obcy. Żeby nie usnąć, przygryzałem wciąż wargi i język.

— Nie chce się panu spać?

— Nie — odrzekłem i pomyślałem: „Jeszcze chwila, a usnę".

Wtem senność pierzchła, jak ręką odjął. Częstotliwość generatora prawdopodobnie wzrosła po przejściu pierwszego progu krytycznego. Od razu poczułem się świeżo i rześko, jak bym się solidnie wyspał. „Teraz trzeba zasnąć" — zdecydowałem i zamknąwszy oczy zacząłem głośno chrapać. Słyszałem, jak doktor mówił do swego kompana:

— Dziwny przypadek! Zamiast przy ośmiu i pół herców sen następuje przy dziesięciu. Pfaff, proszę zanotować te dane — rzekł do starca. — Rauch, jak się pan czuje?

Milczałem, pochrapując nadal, rozluźniłem wszystkie mięśnie, oparłem się kolanami o ścianki kabiny.

—Idziemy dalej — rzekł wreszcie doktor. — Proszę zwiększyć częstotliwość, Pfaff.

W sekundę potem „przebudziłem się". W przedziale częstotliwości, jaki przechodziłem w tej chwili, przyszło mi doświadczyć całej gamy najróżniejszych doznań i zmiennych nastrojów. Odczuwałem to smutek, to radość, to melancholię.

„Teraz trzeba krzyczeć" — postanowiłem nie wiedzieć czemu.

W momencie, gdy warkot generatora wzmógł się, wrzasnąłem na całe gardło. Nie pamiętam, jakiej odpowiadało to częstotliwości, ale doktor, gdy tylko usłyszał mój krzyk, głośno skomenderował:

—Wyłączyć napięcie! Pierwszy raz spotykam się z takim pomyleńcem. Proszę zanotować. Ból przy siedemdziesięciu pięciu hercach, podczas gdy u normalnych ludzi bywa przy stu trzydziestu. Idziemy dalej.

„Będę musiał jeszcze przejść przez częstotliwość stu trzydziestu... Żeby tylko wytrzymać!..."

— Teraz, Pfaff, proszę go sprawdzić na dziewięćdziesiąt trzy.

Gdy uzyskano tę częstotliwość, poczułem, że dzieje się ze mną coś zupełnie nieoczekiwanego. Raptem przypomniałem sobie równania, które dawałem do rozwiązania firmie Kraftstudta i z przerażliwą jasnością przedstawiłem sobie w myśli cały przebieg ich rozwiązania. „To właśnie — częstotliwość pobudzająca myślenie matematyczne" — przemknęło mi przez głowę.

— Rauch, proszę wymienić mi osiem pierwszych członów wyrazów rozwinięcia w szereg funkcji Bessela drugiego rodzaju — rozległ się rozkaz doktora.

Wypaliłem odpowiedź z szybkością karabinu maszynowego. W głowie miałem krystaliczną jasność. Cały byłem przeniknięty cudownym radosnym poczuciem absolutnej wiedzy i pamięci.

— Proszę wymienić pierwszych dziesięć cyfr liczby „pi" po przecinku.

Odpowiedziałem i na to.

— Proszę rozwiązać równanie trzeciego stopnia.

Doktor podyktował mi równanie z ułamkowymi współczynnikami. Odpowiedź miałem w dwie, trzy sekundy i wymieniłem wszystkie trzy pierwiastki równania.

— Idziemy dalej. Tutaj wszystko w porządku. Jak u każdego normalnego człowieka.

Częstotliwość powoli wzrastała. W pewnym momencie opanowała mnie nagle chęć płaczu. Do gardła podjechało mi coś dławiącego, łzy pociekły mi z oczu. Wówczas roześmiałem się w głos. Zaśmiewałem się serdecznie, jakby mnie łaskotano. Śmiałem się, a łzy mi wciąż ciekły i ciekły...

— Znów jakiś zwariowany przypadek... Inaczej niż u wszystkich. Od razu wiedziałem, że to natura o silnych nerwach ze skłonnościami do neuroz. Kiedyż zacznie beczeć?

„Zabeczałem" wówczas, kiedy wcale nie było mi do płaczu. W pewnej chwili zrobiło mi się lekko i pogodnie na duchu, jak bym był trochę podchmielony. Chciało mi się śpiewać, śmiać się i skakać z radości. Wszyscy — Kraftstudt, Bolz, Denis i doktor wydawali mi się dobrymi, sympatycznymi ludźmi. W tym właśnie momencie zmusiłem się wysiłkiem woli, by zacząć szlochać i głośno pociągać nosem. To płakanie wychodziło mi okropie kiepsko, ale jeszcze na tyle przekonywująco, żeby wywołać kolejne komentarze doktora:

— Ani trochę nie podobne to do normalnego spektrum. Będziemy mieli z nim kłopot.

„Kiedy będzie ta częstotliwość — sto trzydzieści?" — pomyślałem z przerażeniem, gdy radość i nastrój beztroski zmieniły się w stan jakiegoś instyktownego niepokoju, podniecenia, jakiegoś przeczucia, że oto jeszcze chwila a musi nastąpić nieuchronnie coś strasznego... W tym momencie zacząłem nucić sobie jakąś piosenkę. Robiłem to całkiem mechanicznie i bezmyślnie a serce biło mi w piersi wciąż mocniej i mocniej w przeczuciu czegoś nieodwracalnego i fatalnego.

7

Gdy częstotliwość generatora zbliżyła się do granicy, która powoduje doznanie bólu, poczułem to od razu. Wpierw zaczęły dokuczać mi stawy dużego palca prawej ręki, potem poczułem ostry, przeszywający ból w ranie, którą odniosłem na froncie, później potwornie rozbolały mnie zęby i to nie jeden, lecz wszystkie na raz. Wreszcie poczęła mnie strasznie boleć głowa. W uszach czułem boleśnie uderzenie krwi. Czyżbym miał nie wytrzymać? Czyżby nie starczyło mi woli, by przezwyciężyć ten koszmarny ból i nie dać poznać po sobie, co przeżywam? Istnieli wszak ludzie, którzy umierali torturowani nie wydając nawet jęku. Historia zna ludzi, którzy umierali w milczeniu palenі na stosach...

Ból tymczasem narastał i wzmagał się. W końcu osiągnął swe straszliwe apogeum, gdy wszystko już bolało cały organizm zmienił się w jeden kłąb rozdzierającego, przeszywającego, rwącego i dławiącego bólu. Przed oczyma zawirowały mi fioletowe plamy, traciłem już prawie przytomność, ale zaciąłem się w milczeniu.

— Co pan odczuwa, Rauch? — znów posłyszałem jak z podziemi głos doktora.

— Uczucie rozwścieczenia — wycedziłem przez zęby.

— Gdybyś teraz mi popadł w ręce...

— Idziemy dalej. Ten Rauch jest zupełnie anormalny.

Gdy traciłem już przytomność, gdy już gotów byłem krzyczeć i wyć, ból gwałtownie ucichł. Czułem, że cały jestem zlany zimnym, lepkim potem. Wszystkie mięśnie drżały.

Później przy jakiejś tam częstotliwości ujrzałem nagle nie istniejące faktycznie, oślepiające silne światło, które nie zniknęło nawet wówczas, gdy przymknąłem powieki. Następnie przeżyłem uczucie wilczego głodu, potem posłyszałem całą gamę ogłuszających dźwięków. I wreszcie zrobiło mi się tak zimno, jak gdyby wyrzucono mnie całkiem nagiego, bez żadnego ubrania na silny mróz.

Wiedziałem, że mam jeszcze przed sobą jedną straszliwą próbę — utraty woli. To właśnie wola ratowała mnie dotychczas. Ale i do niej dobiorą się przy pomocy generatora. W jaki sposób ustalą, że ja ją utraciłem? Czekałem na ten moment w podnieceniu. Wreszcie nadszedł.

W jaki sposób ustalić, że ją utraciłem? Czekałem na ten moment w podnieceniu. Wreszcie nadszedł.

Z nagła poczułem, że opanowuje mnie uczucie jakiejś obojętności na wszystko. Było mi bez różnicy, że się znajduję w łapach szajki Kraftstudta, obojętni mi byli ludzie, którzy mnie otaczali obojętny byłem sam sobie. Doznałem uczucia zupełnej pustki w głowie. Wszystkie myśli jakby zwiotczały. Był to stan całkowitego fizycznego i psychicznego wyczerpania i rozbicia. Nie chciało mi się o niczym myśleć, nie mogłem zmusić się, by unieść rękę, poruszyć nogą, odwrócić głowę. Był to jakiś przerażający stan bezwoli w którym można wyczyniać z człowiekiem co się zechce.

Niemniej jednak, gdzieś w najskrytszym zakątku świadomości tliła się iskierka myśli, która z uporem podpowiadała mi: „Musisz.. Musisz... Musisz..."

„Co muszę? Po co? Dlaczego?" — sprzeciwiała się świadomość? „Musisz... Musisz...

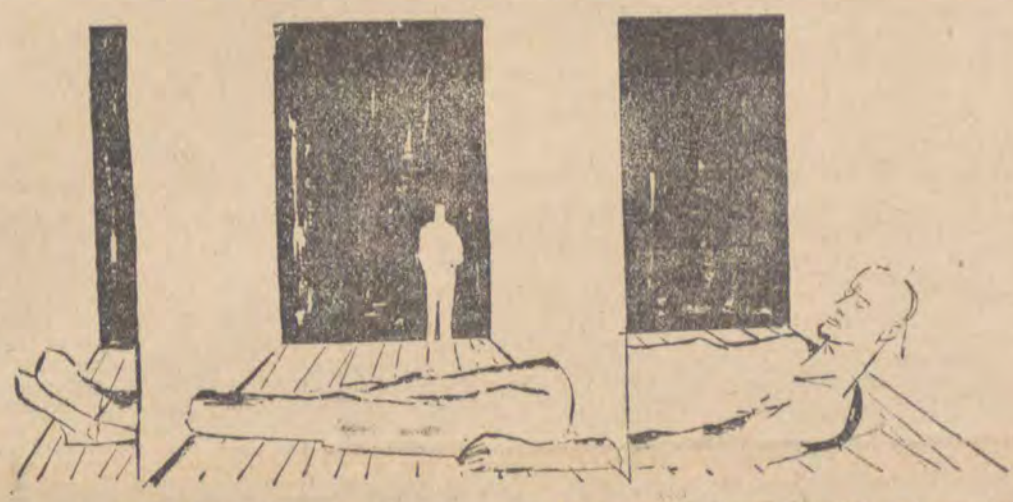

d. c. n.

STANISŁAW BRUCZ

Korespondencja

RECENZJA o RECENZJI

Jarosław Marek Rymkiewicz napisał nową rzecz dla sceny. Tym razem nie dla „małej sceny", lecz raczej dla sceny estradowej. No bo czymże jest jego recenzja „Ondyny" (Odgłosy nr 25), jeśli nie znakomicie zrobionym pastiche'em monologu pewnego typka, który od paru lat coraz zuchwalej grasuje między „Honoratką" i Klubem Dziennikarza. Typka, który tylko patrzeć a stanie się (może już jest!) pełnokrwistym typem naszego rodzimego snobistycznego łyka, naszego „łódzkiego paryżanina".

Posłuchajcie go: nic co łódzkie nie przypada mu do smaku. Biedaczek, skazany na siedzenie w Łodzi, mści się na niej jak tylko może i nie może. A ponieważ najczęściej nie może, ma Łodzi za złe: to, że nie jest Paryżem i to, rzecz jasna, że jej teatry nie grają Becketta i Ionesco. Bo dla naszego łódzkiego paryżanina, który nigdy nie był w Paryżu, Paryż to Beckett i Ionesco, Ionesco i Beckett, tak jak dla wiejskiego eleganta stolica to — kraciasta koszula i teksasy z Cedetu. Ostatnio zaś nasz łódzki paryżanin, aby z kretesem już pognębić teatry łódzkie, do tandemu Beckett-Ionesco dorzuca z lubością nazwisko „Shechadé". Kto to jest? Oczywiście, nasz paryżanin z Piotrkowskiej nic o nim nie wie, nie wie nawet jak to się pisze; — skoro jednak wystawia go taki warszawski paryżanin jak Erwin Axer i to w tak awangardowym teatrze jak Teatr Współczesny, no to musi być najnowsza, paryska nowinka. A nasz cmokier z „Honoratki" żyje i oddycha tylko tym, „co się pisze i gra w Paryżu". Giraudoux to dla niego zjełczała awangarda sprzed 20 lat, a poczciwy Libańczyk Schéhadé, debiutant z roku 1930, surrealista czwartego rzutu — to, proszę państwa, najświeższa awangarda anno 1961.

Jak każdy ignorant, nasz buńczuczny paryżanin jest, oczywiście, „besserwisserem". On „wie lepiej", że robotnikom łódzkim spodoba się i Beckett, i Ionesco, i „Schechadé", i Witkacy. Co w tym towarzystwie robi Witkacy? Ano, jak widać, dostąpił łaski w oczach naszego nowinkarza z dwóch względów. Po pierwsze — dlatego że trzeba przecież pogłaskać naszą narodową dumę: albo ż my to jacy-tacy! My też mamy swego rodzimego Ionesco! To nic, że dramaturgia Witkacego, jak i jego malarstwo, to młodopolszczyzna w zwierciadle autoparodii, że jeśli to było awangardą, to czterdzieści lat temu. No bo — i to po drugie — skoro Witkacego grają Puzyna i Świderski w warszawskim Teatrze Dramatycznym, to znaczy, że zaliczony został w poczet awangardystów „ostatniego miotu", a zatem cześć i chwała studentom łódzkim, że grają „Szewców". A że studenci grają Witkacego raczej dla studentów, a już najmniej dla robotników łódzkich, to furda — on, spec od nowoczesności, wie lepiej... On wie lepiej, że — jeśli już mowa o „Ondynie", z której nie zrozumiał czy też nie chciał zrozumieć nic — „stosunki między człowiekiem a naturą zostały dawno (kiedy?) definitywnie załatwione (przez jaki urząd?) na niekorzyść tej ostatniej". Biedna natura!

Co zaś najzabawniejsze, to hipoteza ogromnie bliska prawdy. Wyobraźmy sobie, co by to było, gdyby Dejmek wystawił Becketta, Teatr im. Jaracza — Ionesco, a Teatr Powszechny — Schéhadé? Toż by dopiero nasz zadufek z „Honoratki" podniósł wrzask. Beckett! Ionesco! Zaśniedziała awangarda sprzed dziesięciu lat! Już nawet nie Chanel Nr 5, a najtańszy Coty dla drobnomieszczan! (Bo nasz wykwintny paryżanin lubuje się w kosmetycznych porównaniach). I dla kogo to się gra? Dla robotników łódzkich! Teatr na pustyni, a nasi młodsi łódzcy dramatopisarze nie mają gdzie wystawiać swych utworów! I tak dalej. Gdyż czego J. M. Rymkiewicz nie przewidział w swej parodii (a szkoda!), to właśnie tej przemiany: łódzkiego paryżanina w lokalnego ultra-patriotę (patrz Odgłosy Nr 22).

Mimo to parodia jest świetna i powinniśmy być wdzięczni J. M. Rymkiewiczowi za to, że zręcznie zamaskowanym satyrycznym ostrzem nakłuł tę snobistyczną bańkę mydlaną (Uroda Nr 3). Pękła, wydając zapaszek ani ostry, ani uroczy. Po prostu — odorek mydlarskiej arogancji i myślowego niechlujstwa. Niech pan jednak, panie Jarosławie, pocieszy swego monologistę: „Kopciuszka", może już zobaczyć na ekranie w adaptacji filmowej, która na pewno zaspokoi jego infantylne ciągoty — w adaptacji Disneya. Przy okazji niech go pan pouczy, że autorem „Kopciuszka" nie jest Andersen, lecz Spinoza; ten sam, o którym jego kolega powiada, że „Spinoza jest pszczołą".

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Ani ton, ani argumenty p. Stanisława Brucza nie umożliwiają mi oczywiście podjęcia z nim polemiki. Byłaby to zresztą polemika dość żałosna. Cóż bowiem ten Rymkiewicz — byle snob z zaścianka — miałby do powiedzenia prawdziwemu paryżaninowi i znawcy europejskiego savoir-vivre'u, jakim jest p. Stanisław Brucz?

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Foto: Włodzimierz Parys

Ks. PROBOSZCZ i MO

„W związku z włamaniem dokonanym do kościoła św. Antoniego i kradzieżą dywanu, 3 lichtarzy, 2 pater najuprzejmiej dziękuję w swoim własnym i parafian imieniu Komendzie Dzielnicowej MO Łódź-Bauty za sprawne i szybke wykrycie przestępców i odzyskanie skradzionych rzeczy.

ks. F. Patynowski.".

Takich listów od księży MO nie otrzymuje zbyt często, chociaż niejednokrotnie udaje się jej wykryć sprawców w przypadku włamania do kościoła czy od plebanii.

WACUŚ TRZYMAJ ŚCIANĘ!...

Oto kilka wiadomości z frontu budownictwa. W roku 1961 miasto powinno wybudować 14.190 izb mieszkalnych. Czy wybuduje? Raczej tak, chociaż na podstawie 4 pierwszych miesięcy b.r. można wnosić, że pierwsze półrocze zamkniemy deficytem ok. 700 izb. No, ale załogi spisują się podobno dzielnie i plan roczny zapewne wykonany.

Prognozy na rok 1962 nie są jednak zbyt różowe. Kulejąt tak zwane „stany surowe". W roku 1960 wskaźnik budownictwa w stanie surowym wynosił za cztery pierwsze miesiące 44,5 proc., obecnie tylko 28.7 proc. To kiepsko, przyszły rok może okazać się nieurodzajny.

Dlaczego? A bo to, a bo tamto. Najważniejszy wydaje się fakt, że inwestorzy nie rozpoczynają prac budowlanych w terminie. Nie mogą z tej prostej przyczyny, że z naszego miasta wycofują swój potencjał „Mostostal", „Gazobudowa", „Beton-Stal", „Energomontaż" i inne przedsiębiorstwa o równie dziwacznych nazwach. Uciekają sobie w różne strony, a wodociągów, kanalizacji, gazu nie ma kto zakładać. Drugi fakt również ważny można by nazwać swego rodzaju beztroską. DBOR, nasz łódzki potentat budowlany, przystąpiła do pracy w 1961 roku mając zaledwie 66 procent dokumentacji technicznej i 49 procent prawnej.

I fakt trzeci, bardzo smutny. Nasz skądinąd bardzo zasłużony „Miastoprojekt" opracował dokumentację dla budownictwa łódzkiego o kubaturze 900 tys. m³. Ale według

projektów typowych tylko — 8 proc.
„ powtarzalnych — 60 proc.
„ indywidualnych — 32 proc.

Tacy u nas indywidualiści, a to drogie jest, pracochłonne i wcale nie zachwycające. Brak typizacji jest więc typową kłodą w naszym budownictwie.

Nie zachwycają nas również elewacje, ładnych elewacji prawie nie ma. Czy wiecie, że obecnie 1.900 m² powierzchni ściennej to czerwone cegły? Każdy rok przynosi nowe 200 tys. m². Dlaczego? Dlatego, że w naszym mieście brak w ogóle komórki robót elewacyjnych, brak przy olbrzymim budownictwie. Ale ma być. Kiedy? Zapytaj się mewy lecącej na niebie.

I wreszcie fakt czwarty, najsmutniejszy. Znacie powiedzonko? „Wacek, trzymaj ścianę, ja lecę po premię!". Tak się też dzieje. W zimie śpimy, na wiosnę budzimy się długo, ale latem, zwłaszcza zaś jesienią robimy na pata'ajkę, co w języku urzędowym nazywa się surmowszczyzna. Przykładem kawiarnia „Agawa". Oddana przed terminem, premia i zaraz remont.

POTĘGA NIEKOMPETENCJI

Łódzki Teatr Telewizji zaprezentował nam ostatnio rzecz Michała Choromańskiego p.t. „Przechadzka między dobrem i złem". Poważne i szanujące się pisma oceniły spektakl następująco:

„Sztuka znakomitego pisarza Michała Choromańskiego... wydaje się jedną z najnowocześniejszych sztuk granych ostatnio na polskich scenach. A ma już 22 lata!

Absurdalność sytuacji, humor trochę w angielskim stylu, wreszcie prawda życiowa i niejedna mądra myśl, zawarta w sztuce — wszystko to dała w sumie wieczór pełen wrażeń.

Oczywiście na nic by się zdały zalety sztuki, gdyby nie fakt, że reżyser Jerzy Antczak i łódzcy aktorzy zrozumieli się w mig z autorem. Każda subtelność bezbłędnie przekazana widzowi, każdy dowcip wypointowany, każde milczenie Józia wygrane do końca. A wszystko razem bez cienia szarży..."

(Woy — „Express Wieczorny")

„Widowisko telewizyjne — w doskonałej obsadzie i dobrej reżyserii JERZEGO ANTCZAKA — zmusza do ustawicznego śmiechu. Trudno nie śmiać się, gdy zbiegły więzień wraca z ulgą do swojej celi, gdzie nareszcie jest wolny od... przymusu dobra. Trudno nie śmiać się z wzniośle uśmiechniętej twarzy Józia (doskonałe wykonanie), który delikatnie zakorkowuje wyjętą z rąk zbuntowanej żony butelkę witriolu ze słowami „Ależ mogłabyś się oparzyć..." Śmiejemy się — oczywiście — z nonsensu. Fakt ten odnotowujemy mimo wszystko z pewną... melancholią. Do tyranii dobra jeszcze w rzeczywistości daleko." (Zet. „Trybuna Ludu)'

Jak daleko, świadczyć może rodzima i anonimowa opinia, pomieszczona w „Dzienniku Łódzkim":

„... Nie uratowała prestiżu naszego ośrodka nawet ciekawa adaptacja sztuki Michała Choromańskiego „Między dobrem i złem" (!), która było bardziej popisem aktorów — głównie Ludwika Benoit, Michała Pawlickiego i Hanny Bedryńskiej niż reżysera Jerzego Antczaka. Wiele złego musieli zrobić autorowi sztuki dobrzy ludzie, że napisał tę rzecz do której pasuje jak ulał tytuł „Czekając na Józia", który jako jeden normalny wraca z kryminału na łono rodziny".

Okazuje się że przedstawiciel „Dziennika Łódzkiego" nie był zdolen pojąć w ogóle sensu sztuki. Nie był zdolen a jak apodyktycznie feruje sądy! Nazbyt wiele dobrego robi redakcja „Dziennika" dopuszczając takiego swawolnego Józia na swoje łamy.

A co do reżysera Antczaka, to cóż — nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Zwłaszcza wobec POTĘGI niekompetencji.

MUROWANY INTERES

W muszli koncertowej na terenie Parku Ludowego na Zdrowiu mieszkają dwie nie byle jakie rodziny: milicjant rzekomo dozorujący park i pracownik Prezydium DRN Polesie, który nie wiadomo czego pilnuje.

Obydwie rodziny zajmują zaplecze muszli, na skutek czego trudno mówić o koncertach, występach estradowych i innych rozrywkach kulturalnych, na które łodzianie czekają. Zaplecze bowiem jest zamknięte na cztery spusty. Otwarto je podczas Zielonego Festiwalu Mody, pierwszej i jedynej tego rodzaju imprezy. Otwarto za opłatą 480 złotych, które pobrała jedna z rodzin. W razie potrzeby służymy kwitem.

I tak to, mili państwo, można spokojnie żyć z dzikiego lokatorstwa. Warto pomyśleć o zapleczach innych muszli, a także teatrów i kin. Interes murowany.

KOBIETY I MEDYCYNA

Z roku na rok wśród kandydatów na studia medyczne jest coraz więcej kobiet. Tego rodzaju dowody równouprawnienia płci są bardzo cenne, ale sytuacja stopniowo dojrzewa do katastrofy. Spójrzmy na zestawienie: w liczbie 736 tegorocznych kandydatów na łódzką AM jest 514 kobiet, co stanowi dokładnie 70 proc. Najbardziej jeszcze „normalnie" sprawa przedstawia się na wydziale lekarskim — 57 proc. kobiet. Na stomatologii jest ich 79 proc., zaś na farmacji aż 91 proc.

Wiadomo, że kobiety z natury nie podejmują zwykle najcięższych specjalizacji medycznych, jak np. chirurgia. Kobiety często „wypadają" z zawodu. Są wreszcie mniej samodzielne, bo obarczone kłopotami rodzinnymi, znacznie mniej chętnie niż mężczyźni wyjeżdżają do pracy w małych miasteczkach i na wsi. To wszystko stwarza powody do zaniepokojenia.

Przedstawiciele łódzkiej AM próbowali poruszyć te zagadnienia na zjazdach międzyuczelnianych, o władz resortowych itd. Ale jak dotąd sprawa nie ma pozytywnego klimatu. Niektórzy traktują nawet te obiekcje jako przejawy walki z równouprawnieniem kobiet.

Foto: Wacław Biliński

NABIJANIE w KIELISZKI

Z protokółu PIH. „Po przemierzeniu podanych do stolików w karafkach wódek stwierdzono, że w obu przypadkach zamiast deklarowanej ilości 500 g wódki czystej było 420 g, czyli niedomierzenie wynosiło 80 g na jednej karafce. Łącznie w dwóch karafkach brak było 160 g. wódki czystej o wartości wg cen sprzedażnych zł 19,84." Rzecz działa się w restauracji „Tivoli".

Żeby nas nikt nie posądził o niechęć do jednej „Tivoli" podajemy, że nabijanie w... karafkę stwierdzono również tego samego dnia i w „Halce", zaś nabijanie w... kieliszki w większości kontrolowanych restauracji. A mianowicie w „Turystycznej", „Magnolii", „Rzemieślniczej", „Eldorado", „Gwarnej", „Rzgowskiej", „Robotniczej", „Myśliwskiej", w „Górniaku" i „Słoniu". Każda tzw. pięćdziesiątka podana w wyżej wymienionych lokalach konsumentom uzbrojonym w menzurkę i mandat inspektorów była „oszukana" na średnio 5 ml „czystej". Podobno jeden kelner przyparty do bufetu miał oświadczyć, że koleżanka bufetowa nie domierzając kieliszków walczy w ten sposób z alkoholizmem.

Chwalebny wyjątek w powszechnym systemie nabijania w kieliszki stanowi restauracja „Pod Szewczykiem", gdzie na łączną ilość 450 ml deklarowanej wódki brakowało tylko 7 ml.

Domierzając czystą w „Savoy'u", „Kotwicy", „Romie" i „Klubowej". Tam chyba pójdziemy się upić z radości, że są jeszcze bufety uczciwe.